

STANISŁAW LEM

POWTÓRKA

POWTÓRKA

Zdarzyło się, że na dwór króla Hipolipa Sarmandzkiego przybyło dwu misjonarzy konwertystów, aby głosić wiarę prawdziwą. Hipolip nie był podobny do innych królów. W całej Galaktyce nie uświadczysz drugiego monarchy, tyle myślącego, co on. Już pędrakiem igrał złotymi mózdzkami i budował samodumki wolnomyślne, a tak słuchał mędrców, że gdy miano go koronować, chciał uciec przez okno z sali tronowej i uległ dopiero argumentowi, że inny może być gorszy. Mniemał, że dobre rządy to nie takie, które chwalą lub ganią, lecz takie, których nikt nie dostrzega. Hołdował filozofii eksperymentalnej, w której o prawdzie decyduje to, co da się zrobić, a nie to, co da się powiedzieć. Bez lęku mogli więc obaj ojcowie konwertyści stanąć przed Hipolipem. Miary nie było ich radosnej zgrozie, gdy pojęli, że król nie to, żeby o Bogu — o żadnej religii jeszcze nie słyszał. Wiedzieli, że będą głosić słowo boże in partibus infidelium, ale żeby aż tak! Hipolip miał umysł w kwestiach wary biały jak nie zapisana karta, toteż zacni misjonarze aż nogami przebierali z ochoty nawracania. Zaraz też powiadomili go o Stwórcy Wszechmogącym, który w sześć dni stworzył świat, by odpocząć w siódmym, o chaosie, co latał przedtem nad wodami, o prarodnicach, ich upadku, wygnaniu z raju i o ponownym przyjściu zbawiennym, o miłości i łasce — a król wziął ich z sali audiencyjnej do prywatnych apartamentów i doskwierał im drastycznymi pytaniami, odpowiadali mu wszakże z cierpliwą wyrozumiałością, rozumiejąc, że nie są z kacerstwa, lecz z niewiedzy. Zafirapowany rewelacjami, jakie przyszło mu pierwszy raz słyszeć, kilkakrotnie kazał sobie powtarzać rzecz o stworzeniu świata, bo go wprost odurzała nowością. Wciąż pytał, czy Ojcowie całkiem są pewni tego, że Bóg stworzył świat, by go zasiedlić? Czy nie mogło być tak, że celował Stworzeniem gdzieś dalej, a mieszkańcy bożego gmachu załegli się w nim pokątnie, mimochodem? Miałże naprawdę ich Bóg na osobliwej uwadze, gdy brał się do dzieła? A oni, powściągając zgorszenie, wywołane bezgraniczną, więc i bezgrzeszną naiwnością, poręczyli mu, że Bóg dla stworzeń swych świat stworzył, jako iż będąc miłością nic nie miał na oku oprócz ich szczęścia. Wiadomość o tak silnych afektach Stwórcy dla Stworzonych wywarła olbrzymie wrażenie na Hipolipie. Pewne trudności powstały przy kwestii Szatana, albowiem król zachował się w roli nawracanego dość niekonwencjonalnie. Nie temu się dziwował, że Pan go toleruje, lecz temu, że się nim Kościół brzydzi. — Toż z nim jak z kanalizacją — rzekł — przykre to, lecz niezbędne. Gdyby nie było Szatana, musiałby Bóg sam doglądać piekieł, co źle by się rymowało z jego nieskończoną dobrocią.

Zawszeć poręczniej wydelegować kogoś do tak delikatnych spraw. Bo przy tym, jak jest, bez piekła ani rusz, toby trzeba było od samego początku inaczej świat projektować. Więc powinien Kościół oficjalnie uznać nieodaowność szatańską: Ale w końcu pokonali jakoś złotousoi Ojcowie zastrzeżenia królewskie, wyprowadzali myśl nawracanego na czystą wodę i Hipolip w dwudziestym dziewiątym dniu nauk przyjął dobrą nowinę, popłakał się nawet ze wzruszenia, a dwaj misjonarze, też przejęci, ofiarowali mu twarda oprawny tom Zakonu, udzielili błogosławieństw, i ruszyli ku nowym mozołom. A król zamknął się na trzy tygodnie w swych apartamentach, rady nie wzywał, posłuchań nie udzielał, raz tylko posłał po stolarza, bo się oberwał pod nim szczebel drabiny biblioteczej. Aż wyszedł jednego ranka do ogrodu, nowym okiem patrząc na najmniejszą trawkę, jako na boże dzieło, a wróciwszy do pałacu, kazał ślać zaraz samego Orntologa Królewskiego jako posła po sławnych konstruktorów omnigeneryków Trurla i Klapaucjusza, żeby się przed nim stawili — ale to natychmiast l

Przybyli więc obaj, zdyszani, bo tak ich pilił dostojny poseł, skłonili się przed tronem i czekali pańskich słów, przy czym Klapaucjusz sztutchnął Trurla pod żebro, przypominając, co mu kładł do głowy na wy jezdny m — żeby się nie wyrywał jak filip z konopi, ale każde słowo obrócił trzy razy w umyśle, nim się odezwie. A najlepiej, żeby siedział cicho. On, Klapaucjusz, bierze już całą audiencję na siebie.

— Witam was, moi mili, i dziękuję za rychłe przybycie — rzekł Hipolip, prosząc siadać. — Słuchajcie pilnie, bo wielkie rzeczy mam na uwadze i siła od was w nich zależy! Niedawno nawiedziło mnie dwu zagwiezdników, od których posłyszałem, że Kosmos to nie bezpieczna rzecz, bo ma Autora. Jest nim Bóg, osoba, jak mi zaręczono, nader sympatyczna, w którą uwierzyłem bez zastrzeżeń, czego i wam życzę. Jutro wydam edykt, którego mocą każdy z mych poddanych otrzyma w kasetowym wydaniu Pismo Święte, lecz nie w tej sprawie was wezwałem. Już wiem, że świat nie jest wsobny ani odsiebny, lecz został sporządzony przez wytwórcę osobiście — jako mieszkanie dla istot, również przez onego wykonanych. Tak więc Bóg zrobił swoje, myślę tedy, że i ja winienem swoje zrobić. Przybysze, którym zawdzięczam nawrócenie, namawiali mnie najgoręcej, żebym się odtąd najpierw troszczył o własne zbawienie, czego wysłuchałem bez przerywania, boż byłoby niegrzecznie, ale swoje wiem. Ja nie taki, żebym najpierw o sobie myślał. O ileż wszystkim byt ważniejszy jest ode minie! Jemu więc chcę poświęcić odtąd resztę mych dni. Znam, mości Trurlu, twoje dzieło „De Impossibilitate Felicitationis Satiandae Entium Sapientium” lecz nie poruszyło mnie szczególnie, bo i czemu, myślałem, niekiepsko ma się bytować w kiepskim świecie? Toż ostatnią rzeczą, na jaką gotowym był przystać, nim w Boga uwierzyłem, była zwrócona ku nam doskonałość kosmicznej budowli! Myślałem sobie wszakże, że skoro to się

samo wszystko nagrzało, rozkręciło i wzleciało, to nie można mieć do nikogo pretensji o ewentualne mankamenty, a tym samym nie ma w defektach bytu żadnego problemu. Teraz jednak, skoro wierzę, już dłużej myśleć tak nie mogę! Zmieniła się postać rzeczy! Wierzę tedy, nie wątpię, że Stwórca jest nieskończenie miły, że nam sprzyja bez granic, że chciał jak najlepiej, będąc perfekcjonistą, ale nie wierzę, że nie można było tego lepiej zrobić!

— Czy WKMość dałeś to do pojęcia swym preceptorom duchowym? — spytał Klapaucjusz z dyplomatycznym ociąganiem.

— Co? Nie. Najpierw, bom nie chciał ich dotknąć, a potem, bo nie widziałem sensu w komunikowaniu im takich obiekcji. Toż to są biegli do spraw teologii, a nie technologii, mnie zaś idzie tylko o tę stronę bytu. Nie mówiłem im nic, tym bardziej że nie zamierzam brnąć w jałowe krytykanctwo, lecz jako rzecznik eksperymentalnej filozofii chcę zakasać rękawy. Wyznaję, przemknęło md zrazu, by podreperować Stworzonych, bo to i materiałowo nie bardzo przyzwoici, i czynnościowo, żeby już nie wspomnieć o stanie przeciętnej inteligencji, ale wspomniał zaraz twoją rozprawę, panie Trurlu. Tyś mię ruszał świata, a jedynie lokatorów chciałeś remontować: wybac mi, zacny pandę, toż postawiłeś rzecz na głowie. Do mieszkania lokatorów przykrawać — kto słyszał takie rzeczy? Zadanie opiewa odwrotnie! Chcę wyprodukować byt alternatywny.

— Król pragnie zostać neokosmicznym inwestorem, a nas wziąć na generalnych wykonawców?

— Dobrześ to ujął, panie Klapaucjuszu. Wiem, że wykonać nowy świat, to nie to samo, co nową wialnię, lecz nie lękam się trudności obiektywnych. Gdyby stworzenie Uniwersum było równie łatwe jak ulepienie garnka, ani sam brałbym się do niego, ani bym was nie trudził.

— Wybac, WKMość — rzekł Klapaucjusz, — ale niejasne mi, jak, podając się wierzącym w Boga, chcesz skonstruować świat, sprzeczny z tenorem twojej wiary.

— Dlaczego sprzeczny? — zdziwił się Hipolip. — Inny, nie sprzeczny. Ty wadzisz w moim zamyśle sprzeczność?

— Tak mniemam.

— Mylisz się i zaraz ci wyklaruję omyłkę Czy wierzysz w istnienie latających aparatów?

— Wierzę, boż istnieją, panie,

— A w algebrę wierzysz?

— I ona istnieje. Wierzę. Wszakże można się

o tych istnieniach przekonać namacalnie lub czynnościowo!

— Ej, ej — uśmiechnął się król — widzę, z jakiej mańki chcesz minie zażyć, ale nic z tego. Wierzysz także i w to, czego nie doświadczyłeś i nigdy nie doświadczysz. Na przykład w istnienie liczb tak wielkich, jakich z pewnością nigdy się nie doliczysz, oraz słońc, których nigdy nie ujrzysz. Nieprawdaż?

— Istotnie.

— A widzisz. Owóż, czy od tego, że w to wszystko wierzysz, już byś nie mógł zbudować niebywałej maszyny latającej lub wykoncypować nowej algebry? Czy istniejąca algebra uniemożliwia ci wymyślenie innej?

— Nie, panie. Lecz sam mówisz, że Bóg sporządził świat z miłości do stworzenia. Więc konstruując inny, tym samym odtrącasz bożą miłość.

— Nego consequentiam! Nic podobnego. Dajmy na to, że rodzic postawił ci dom. Czy z tego, że chcesz obok wnieść inny, wynika, jakobyś przestał szanować ojca lub aż wzgardził jego miłością? Co ma piernik do wiatraka? Nie widzę związku między mą budowlaną intencją a miłością Najwyższego. Chyba cię przekonałem?

— Odtrącasz przecie dar, doskonały podług twej wiary. Czy nie tak?

— Dlaczego aż odtrącam? Czy powiedziałem, że się chcę wyprowadzić z tego świata? Pragnę dokonać pewnej próby, to wszystko. Poza tym nie zapominaj, że i ja jestem częścią Stworzenia, a z siebie nie zamierzam zrezygnować. — Klapaucjusz skłonił się w milczeniu, a widząc, że Trurl otwiera usta, zręcznie kopnął go w kostkę. Król, który nie spostrzegł tego, rzekł:

— Przejdźmy więc do wytycznych! Jeszcze jako infantowi mówili mi preceptorzy, że świat jest sobie, a my, choć w nim, też sobie. Ani on dba o nas umyślnie, ani nam umyślnie szkodzi, bo tnie został frontem do nas wzniesiony. Jeśli to a spizarnia, to na pewno nie dla myszy postawiona, choć z niej profitują. Lecz skoro nie przeznaczona dla nich, to i nie dziwota, że półki zbyt wysokie, że się można utopić w garnku mleka i że trafiają się po kątach substancje niejadalne.

— A jak z łapką na myszy, WKMość? — nie wytrzymał Trurl.

Hipolip uśmiechnął się.

— Myślisz diabła? To, panie Trurlu, ekstremista, bez którego się nie obejść! Diabeł w bożym dziele tym jest, czym regulator w maszynie parowej: rozleciałaby się bez niego! Uważasz? W pewnym wyższym sensie plus współpracuje z minusem, a chód dopóty równomierny, dopóki impulsy przeciwstawne się równoważą. Ale może później lub kiedy indziej o tym pogadamy. Przekonano mię, że jest Ktoś nieskończenie dobry, kto wystawił nam kosmiczne kwatery, pilnując, by jak najakuratniej były zwrócone frontem ku lokatorom.

Wszystko jest w bożym dziele dla jego mieszkańców, wszystko pasuje tedy jak ulał, precyzyjnie wymierzone, bo celowe, a jeśli coś gniecie, pije, dręczy lub nawet łupi ze skóry, to też jest przejaw krojcej życzliwości bożej, tyle że maluczki lokator nie od razu umie się w tym wyznaczyć. Teologowie mu pomogą: byt wprawiony w materię jest segregatorem dydaktycznym, czyli właśnie wialnią, odsiewającą ziarno od plewy. Ponieważ uwielbiam wprost naukę, urządzenie świata jako wszechnicy z egzaminami konkursowymi wprost nadzwyczaj mi się uwiidziało. Wszakże, ledwie opuścili mnie dobrzy ojcowie, zauważyłem z niepokojem, że nie tylko ten świat, lecz w ogóle każdy da się uznać za dar wszechmiłości. Wystawcie sobie świat, w którym wszystko boli. Kto tam pomyśli literkę, stęknie, a kto cały alfabet, już niemal kona. Nawet kiedy o Bogu pomyśli, to też jakby zeń pasy darli. Niechaj skowyczą tam, aż się od tego trzęsą słońca i żar leci im łuską z przepalonych boków. I cóż? Czy nie można chwalić i takiego świata, powiadając, że ten ból życzliwy, bo nagli do raj, a przy okazji uprzytamnia piekielne przykrości, więc odstręcza od grzechu? I czyż w ogóle można pomyśleć świat tak potworny, żeby już nikt a nikt nie był w stanie nazwać go skutkiem nieskończonej życzliwości Stwórcy? A gdyby to nawet szczere piekło było, też da się utrzymywać, że to jedynie makieta, a prawdziwe piekło jest gdzie indziej i o wiele gorsze. Udowodnij mi, proszę, że tak nie jest! A zatem widzicie, że można wprawić teodyceę w każdy typ świata i głosić, że kto ufa Bogu nawet wtedy, gdy zeń od tej ufności wióry leca, tym zarabia najpewniej na światłość wiekuistą. Owóż pochwały, co do wszystkiego pasują, nie nazbyt wiele są warte...

— Czy król i to mówił swym ojcom duchownym?

— Słowom królewskim należy przysłuchiwać się z uwagą, mój panie. Powiedziałem, co mi przyszło do głowy po odjeździe zacnych ojców. Myślę sobie, że nasz świat nie jest jedyny. Pewne dane po temu można znaleźć w Piśmie. Weźmy chociażby sąd ostateczny. Ostateczny, a więc po nim już nic ciekawego jako radykalnie nowego mię nastąpi. Jakże po końcowym bilansie nie miałyby Pan już niczego nigdy przedsiębrać? To nie do wiary. Prawdziwy twórca nie zadowoli się jedną kreacją. Oczywiście, światy nie całkiem udane to dlań trudny dylemat. Zachować źle i unicestwić niedobrze, bo właściwie jakim prawem? Zdaje się, że próbował zrazu pewnych usprawnień, tak zwanymi cudami, ale potem dał im spokój...

— Czy WKMość słyssał o kacerstwie i herezji?

— Cożeś się tak przypiął do mnie z pytaniami? Myślałby kto, że stoję już na sądzie biskupim. Owszem, słyssałem o apostazjach, ale one idą zawsze z niechęci ku Stwórcy, a ja, na odwrót, chcę mu pospieszyć z pomocą.

— Panie — rzekł pochrzając Klapaucjusz — znajdujemy się wewnątrz nader delikatnej a wręcz drażliwej egzegezy teologicznej. Obawiam się, że król nie tych, co należało, wezwał biegłych...

— Mylisz się. Przecież ani nie odstępuję od wiary, ani nie myślę jej reformować. Nie zmierzam ku apostazie, lecz ku genezie.

— Ale bo — zaczął Trurl, lecz Klapaucjusz nastąpił mu na nogę i skłonił się królowai, mówiąc:

— A więc dobrze! Jakie Uniwersum życzy sobie WKMość?

— To właśnie należy obmyślić! Podług teologów dwa ograniczniki umieścił Bóg w swym dziele. Jeden na zewnątrz Stworzonych, a drugi — w nich samych. Bóg wszystko słyszy, lecz nie odpowiada. Dawniej pono konwersował, lecz jakoś przestał. Tak zatem bezpośrednia łączność z Bogiem jest jednokierunkowa. Druga zaporę ma subtelniejsze zastawki. Bóg to taki inżynier, który, sporządzając innych inżynierów, już na rajzbrocie tak ich ograniczył, żeby nie mogli z nim współzawodniczyć stwórcze. To mówili mi moi nauczyciele, wydało mi się wszakże owo ograniczenie tak dziwne, że próbowałem zbić ich z tego pantafiku, lecz stali przy swoim. A wszak współzawodnictwo nie musi wypływać z niskich pobudek. Wynalazca nowego leku nie stwarza go po to, żeby usunąć w cień wynalazcę leku istniejącego, lecz by skuteczniej zwalczyć cierpienie. Dlaczego więc kreator nowego świata miałby go obmyślać przeciw kreatorowi świata już gotowego? Podług misjonarzy, Bóg podejrzewa każdego, kto chce wejść z nim w szranki kreacyjne, o brzydkie uroszozenia. Że to nie idzie mu o świat niekiepski, lecz o tron niebieski, sądzę jednak, że Bóg jest osobą daleko skromniejszą i dlatego właśnie bardziej ujmującą, niż chcą teologowie. Jak wiadomo, dzieło mówi o budowniczym więcej, niż jego chwalczy. Jeśli obejrzeć uważnie świat, widać, że został stworzony nader dyskretnie, wręcz anonimowo. A czyż nie można było umieścić w każdej trawce znaków firmowych? Nie okólników—ogólników, nie komentarzy (wszak Pismo to komentarz do Stworzenia), lecz oryginalnych znaków, poświadczających wprost autentyczność bożego autorstwa! Próbowałem sugerować bożą skromność, jako przyczynę anonimowości kosmicznej, przyprawiającej teologów o ciągłe migreny. Bóg zataił swe autorstwo tak świetnie, jakby go wcale nie było — i gdzież by to spowodował przypadek? Schował się, bo chciał się schować! To mi się podoba! Taką dyskrecję rozumiem! Ale mnie zakrzyczeli. Podług nich, Bóg daje nam światem szkołę z miłości, a schował się, żeby dać nam zupełną wolność. Dopóki ogrodnik na widoku, nikt nie pcha się na jabłoń. No, ale jednak tego, kto by używał tej wolności, ile wlezie, diabli wezmą. Jakaś wątpliwa mi w tym pedagogika. Dawać po to, żeby nie brali — cóż to za dawanie? A jeżeli biorą nie z

niegodziwości, lecz z rozpędu? Jeżeli nie są wolni jak żywioł, lecz jak wybita ośka, która lata na wszystkie strony, bo taki mają obłuzowany charakter? Tak pytałem patrów, a oni na to, że kto zadaje takie pytania, ten szaleje bądź grzeszy, czyli bałwan lub łotr, co się zaś tyczy Pana Boga, zawsze wie lepiej. Może być. Powiedzmy. Pana Boga nie tykam, ale od was nie przyjmę podobnych usprawiedliwień. Mówię to wam z góry, żeby potem nie było jakichś nieporozumień. Daję wam plenipotencję, stwarzajcie śmiało, lecz nie byle jak! Wszystko ma być wykonane solidnie, z optyimizacją ciągłą, a nie uchybową... pojmujecie chyba, do czego piją? Uchybowym optyimizatorem jest Szatan jako regulator–instygator, bo najpierw instyguje do złego, a potem nadstawia otchłań. Prosiłbym uniknąć takiego ekstremizmu.

— Jeśli zebrać słowa WKMości, to takie powstają wytyczne — rzekł Klapaucjusz. — Skoro Bóg zablokował łączność, to my ją otworzymy. Skoro był autorytarnym centralistą, to trzeba kreacji demokratycznie zdecentralizowanej. Demokracja zaś oznacza równość. Każdy mieszkaniec naszego Uniwersum będzie mógł podług zachcenia stwarzać sobie światy, jakie mu się spodobają. Czy tak?

— Uchowaj Boże! — zawołał Hipolip. — Zupełnie nie tak! Jakżebym mógł zacząć demokratyczną kreację od wydawania wam ścisłych rozkazów? Nie byłaby to oontradictio im adiecto? Dziwię ci się, panie Klapaucjuszu, żeś mógł tak o mnie pomyśleć. Nie uważam też, że Bóg ze wszystkim zakorkował przed nami światostwórstwo, boż podług tej myśli nie mógłbym się brać do roboty. Nie nalegam też zbytnio na łączność, bo pierwej zaludnijcie mi ten nowy świat, a zobaczymy, czy jest tam z kim gadać. Duch duchowi nierówny, moi panowie, wy, coście ich kopy sporządzali, dobrze o tym wiecie. Nie sztuka dać dostęp do siebie byle sfuszerowanej istocie gwoli reklamacjom i pretensjom. Sztuka nie fuszerować!

— To już nie wiem — wybąkał Klapaucjusz. — WKMość dajesz nam zupełną projektową swobodę? Mamy sporządzić byt doskonały podług naszego uznania? Ehem, jakby rzec... uczciwszy majestat i uszy, będzie to duumvirat, a nie triumvirat, skoro my marny zrobić wszystko, a najjaśniejszy pan nic.

— Co znowu? Jakże nic? — zaśmiał się król. — Wszak to ja będę decydował o tym, czy się wam Stworzenie udało! Zresztą nie skończyłem. W szczegóły wchodzić nie myślę, ja na waszym miejscu wypróbowałbym rozmaite prototypy, a potem wszystko najlepsze związałbym w jeden supeł, ale to już wasza rzecz. Ot, czego chcę najpierw: abyście wprowadzili sprawiedliwość w trwanie! Jego nieodwracalność to, powiedzmy wyraźnie, skandal. Cokolwiek raz się stało, już się nie odstanie. Komu bliźni zrujnował doczesność, ten w rekompensacie otrzyma światłość wiekiustą. Lecz przecież jutrzejsza kiełbasa nie nasyci wczorajszego głodu, nawet jeśli by miała być nieskończonej długości. Nie takiej pragnę

arytmetyki, bo nie widzi mi się dodawanie, w którym przyszła perfekcja z nawiązką anuluje przeszłą paskudę. Nieodwracalność czasu — oto naczelna nielojalność bytu! Wszak wiadomo, że kto zaczyna żyć, sam sobie szkodzi nieobytem w bycie, a kto kończy, ten wprawdzie już wie, co do czego i jak, lecz na ogół za późno. Boży zaświat to taka stacja ostatniej obsługi, na której niczego się nie naprawia, a tylko segreguje: między anioły lub do smoły. No, a tej strony rzeczy, że zło może być skutkiem nieubłagalnej natury czasu, jakoś nie bierze się pod uwagę. Weźcie się do czasu, mówię wam. Kto raz upadnie, będzie to mógł anulować, a jeśli się za pierwszym nawrotem nie poprawi, to po dwudziestym czy po setnym znudzi się albo i wydobrzeje.

— Tak! Można zrobić Uniwersum anizotropowe! — zakrzyknął Trurl, który nie był już w stanie dłużej milczeć. — Świat anizotropowy ze wstecznym biegiem czasu, włączanym w szczególnych miejscach, zwanych osobliwymi punktami continuum!

— Czemu tak? — zainteresował się król.

— Bo tym sposobem uniezależni się władztwo nad czasem od stopnia technicznego rozwoju — wyjaśnił Trurl promieniejąc, że na to wpadł. — Będzie to własność tego świata równie powszechna, jak w naszym powszechne jest ciążenie! A co znaczy „powszechne”? Demokratyczne!

— Rozumiem. Nieźle to wygląda. Kiedy pokażecie mi prototyp?

— Bodaj we dwa tygodnie, panie. Co? Jak myślisz? — spojrzał Trurl na kolegę. Klapaucjuszowi nie w smak była tak raptowna decyzja, ale dość miał audyencji, skinał więc tylko głową.

Wracając, klócili się zawzięcie. Do upadłego spierali się też podczas roboty, lecz terminu dotrzykali. W umówionym dniu przybyli na dwór królewski, ciągnąc małą dwukółkę, zawalona aparatami i narzędziami. Na samym wierzchu stały skrzynie, połączone kablem. Zaraz przybiegł król i w sali audiencyjnej, pośród złocen, spłowiących sztandarów i herbów dynastycznych poustawiali na podłodze aparaty. Klapaucjusz dokręcał śrubki, a Trurl gadał jak najęty:

— W tym większym pudle jest zasilanie, a w mniejszym świat! Takuleńki, jakim zapowiedział najjaśniejszemu panu: anizotropowy, z punktami osobliwymi, w których można przerzucać biegi, a dostęp do tych punktów jest równy i powszechny... Umyśliliśmy też, panie, wykonać kalka osób, które w przyszłości posłużą nam do próbowania następnych uniwersów... Wolę mają wolną, każdy robi to, co mu się żywnie podoba, nie dajemy im nastawień, nie zawiązujemy ich w niczym, żeby można było polegać na autentyczności ich zachowania... Oczywiście, żaden z tych osobników–próbowników nie może być idealnie taki

sam w każdym świecie, boż radykalna przeróbka ontologii narusza też fizjologię, zadba się wszakże o zachowanie inwariancji jako tożsamości, w przeciwnym razie bowiem niemożliwe byłoby porównywanie esencji z egzystencją w tych wszystkich światach...

— A jak można tam zajrzeć? — pytał król, patrząc na gorliwą krzątanicę Klapaucjusza i wciąż przeszkadzając, bo mu się nogi plątały w porzrzuconych przewodach.

— Na razie użyjemy prowizorki. Zakładamy na egzystoskop pseudokryształ, laserowy sygnał wzmacnia kaskadowo na wyjściu, no i zwyczajnie już rzutnikiem, gdzie bądź, a choćby na tę ścianę...

— Można! — rzekł Klapaucjusz, wstając. Trurl przytrzymał w garści słabo kontaktującą wtyczkę, bo nie miał pod ręką taśmy izolacyjnej, i tak zaczęła się projekcja. Alabastrowe płyty między pilastrami poróżwiały, wpłynął na nie obraz, zrazu nieco rozmazany i chwiejny, ale zaraz się wyostrzył. I widzieli, jak pewien feudał, niejaki Marlipont, wyruszając na wyprawę krzyżową zalecał małżonce dochowanie wierności,— będąc zaś z natury podejrzliwcem, zamknął ją w narożnej baszcie zamczyska i jeszcze za jej — okutymi dźwierzami posadził zaufanego sługę z mieczem. Dla większej pewności zlecił przykuć onego sługę za nogę do muru pod wykuszem, by nie mógł zejść z posterunku. Kluczem wraził pod pancerz w zanadrze, molestacje sługi choć o beczkę piwa słodowego pominął milczeniem, wsiadł na koń i pognął za kurzawą szyków. Jeszcze kurz się nie położył, jak Kręślin Szcządry, — jego sąsiad, który będąc libertynem nie pociągnął na wyprawę, jął się wspinać po bluszczu na basztę w której urodziwa Cewinna feudałowa Marliponcka przedła mech, bo len jej wyszedł, a nie mogła posłać za nowym będąc uwięzioną.

Mniej więcej na wysokości drugiej kondygnacji oberwał się bluszcz słabo wrośnięty między głązy i runął wraz z Kręślinem libertynem na kamienisty podwórzec, od czego niedoszły amant omal nogi złamał. z największym trudem ale i pośpiechem poczołgał się Kręślin, jęcząc z bólu i klnąc w żywy kamień, ku fosie, gdzie jego wierni pacholkiwie z końmi czekali, kazał się im ułożyć w kolebce między dwoma jucznymi i gnać z kopyta do sadyby Trzeszczypała Suwy, starca który miał w pieczy wioskową tempornię. Przybywszy do niego, najpierw prośbą usiłował go skłonić nieszczęsny junak, by przełożył dźwignię wstecz, a kiedy ów nie chciał, zasłaniając się rozkazem marliponckim, Kręślin położył na niechlujnym zydlu worek twardy od dukatów, uciulanych na tę ewentualność, od czego Suwa zaniewidział i podtrzymywany z boków przez sługi mógł Kręślin wejść pod daszek, osłaniający czasownię, gdzie sterczały lewary. Cofnął główny i zaraz mu się nogi zrosły, bo odwróconym trybem z poniedziałku pechowego wpadł w pozaprzeszłą niedzielę. Dał lekko do przodu, lecz nie nazbyt raptownie, z takim pomysleniem, żeby bluszcz zdążył się pierwej

porządnie rozwinąć, więc przyspieszając trwanie, pozierał w okna, czy deszcze padają, nader korzystnie wpływające na korzeniowy system roślin.

W sześć minut odczekawszy roztropnie dobre dwa tygodnie, dał czasowi zwyczajny bieg i co koń wyskoczy pomknął ku wieżycy. Bluszcz okrzepli doskonale wpił się korzonkami w szpary gładów, w oknie nie było nikogo, nuż tedy Kręślin do liściastych pnączy i na górę. Chybnął w okno. Cewinna jak raz czesała włosy przed srebrną gotowalnią, więc ją zaszedł z tyłu i wziął . w objęcia. Drożyła się, ale bez przesady. Gdy ich złączył uścisk, zahurgotały na kamiennych schodach żelazne kroki męża, który wrócił się niespodzianie, bo był zapomniał prosić żonę o przepasanie szarfą na wojackie szczęście, skoro wszyscy inni mieli takie szarfy. Nie zdążył Kręślin dopaść okna, jegiery przeszkodziły, gdy wszedł mąż zbrojny i na tyle bystry, że już chyląc się w drzwiach, by nie rozbić łba o nadproże, wyzgrzytał szablisko z pochwy. Bezbronny Kręślin podał mu tył, za bluszcz, i jak tylko prędko mógł obsuwał się, małżonek Cewinny zaś, rycząc niczym bawół, przepchał z największym trudem i zgrzytaniem zakutą pierś przez wyzior okienny i jak nie pocznie ciąć, siec, rąbać bluszczowe sploty. Zaraz puścili i Kręślin runął jak kamień. Lecąc, dość miał przytomności dzielny choć pechowy zalotnik, by co tchu krzyknąć Cewinnie, niechaj sama następnym razem pamięta o szarfie!

Teraz gorzej poszło Kręślinowi, bo odwróciło lecącego na przyporach i głową huknął w podwórzec, od czego się uszkodził na rozumie. Zipiął jeszcze, więc znów cisnęli go śludzy do przezornie narychtowanej kolebki i wpięrw cwałem, potem rysią pomknęli do starego Trzeszczypała. Zanim Marlipont, łomocząc wewnątrz baszty niczym oberwany kamień młyński, wypadł na dwór rycząc „Konia!! Królestwo za konia!!”, w temporni pociągnął Kręślin omdlewającą prawicą właściwy lewar i to tak rozpaczliwie, że przeleciał wstecz z kwietnia w styczeń. Zimno było czekać w nie opalanej temporni na wyprawę krzyżową, dał więc małą naprzód po same idy marcowe i znów do bluszczu.

Może Cewinna dosłyszała, co wołał amant lecący z baszty na łeb, a może Marlipont zrezygnował tym razem z szarfy, dość, że gdy stanął Kręślin naprzeciw niej złotowłosej, cicho było na schodach jakby i stary sługa uświerkł już z głodu. Przecież rozważny Kręślin zasunął rygle, nim otwarł ramiona miłej. Namiętna, zapamiętała była ich miłość w baszcie, nie słyszeli puszczyków ani nawet burzy, co przegrzmiała pod północ. Kręślin zerwał się z zorzą, przerzucił bez słowa nogi przez parapet, szust po bluszczu na podwórzec, w siodło i cwałem do temporni. Pokrzywy wokół jak las, w środku cicho, lecz okazał przezorność: przytrzymując nie dopięte hajdawery poraczkował ku wrótni, łypiąc na wsze strony — i słusznie, bo nad uchem huknął mu samopał, zastawiony w tym czasie przez niewiadomego.

Wtedy dopiero kopnął drzwi, i do lewara. Uczynił ze świtu zmierzch poprzedniego dnia, ustawił dźwignię pośrodku i nuż się krzątać.

Zadzierzgnął pętlíčkę na wyświechtanej rękojeści, i to pod blatem stołu, sznur na krokiew, z krokwi przez dziurę w dachu na kalenicę, z kalenicy pod okap, tu uwiązał drugi koniec sznura do pustego wiadra, wiadro pod dziurawą rynnę, jeszcze śmieci nagarnął, przytrzasnął nimi sznur idący od lewara, plunął w garście, na siodło i galopem do baszty.

Najmocniej dziwił się temu pośród widzów król jegomość.

— Na cóż on taki? Albo mu następny dzień z nocą gorszy?

— Zważ, miłościwy panie, że on zwykły wstecznych czasów, jak wszyscy tam! — wyjaśnił przystępnie Trud. — Toteż wie, że cofnąć się dla repetycji miłych chwil nic nie kosztuje, natomiast nie wypróbowana przyszłość może kryć w sobie niewiadome kłopoty!

— A co z tym wiadrem?

— Zapamiętał, że deszcz padał nad ranem! Gdy znów, to znaczy jeszcze raz, lunie o przedświcie, wiadro napelni się, pociągnie sznur i lewar, przez co samo się wszystko powtórzy...

— Widać, że bywały czasowiec! — wtrącił Klapaucjusz. — Zamaskował sznur! Gdyby kto tam nawet i wszedł, może nie zauważy...

Tymczasem noc miłosna miała się znów ku końcowi i zbierało się na deszcz, aż tu hałas kopyt i szczęk oręża wyrwały ze snu kochanków. Stoczył Kręślin boso ku oknu i widzi, że źle: na dole kupa zbrojnych, sześciu Marliponckich szwagrów, co mieli dać baczenie na majątek i na Cewinnę, a przyciągnęli, bo ich dobra o dwieście stajań, więc już w sąsiedniego powiatu temporni. Go robić? Chyba wyziorem armatnim obsunąć się prosto w fosę...

Wymknął się strwożonej Cewinnie, wczepił garście w tęgie sploty listowia i jechał już na dół, aż zawrzasnął z bólu. Patrzy, a to nie noc, lecz dzień, on nie na górze, lecz na głazach z połamanymi nogami, a nad nim Marlipont w blachach ryczy:

— A łotrze, a zdrajco, oczajduszo! Myślałeś mnie przechytrzonym, alić tak mi daleko do temporni jak tobie, cudzołóźco! Czekał, teraz ja cię popieszczę! — Na jego znak niosą pałubę żelazną, kowaną, stawiają, otwierają, a w środku gwoździami cała wybijana — oj, bardzo źle! Kręślin dobrze zna ten instrument! Usilnie wypatruje deszczu — pierwsze krople padają, ale tyle tego, co kot napłakał... Już go wzięli za kark, za ciasnochę, pchają go pachółkowie do żelaznego wnętrza, a tam ćwieki jak brzytwy, niech jeno zatrzasną, a... Huknął grom i leje jak z cebra.

— Nic to! Nie zważać, psubraty! Prędzej tam, nie certolić się, zaniknąć, ryglować! — komenderuje Marlipont, a zęby świecą mu przez kratę przyłbicy. Oberwanie chmury! Żeby

tylko sznur cały był — Kręślin udał słabość, wali się, leci drabantom przez ręce, mozolą się, już pierwsze ostrza poczuł plecami, wrzasnął — i rymnął jak długi.

Mrok i cisza. Deszcz siąpi. Obmacał boki: całe. Nogi: prostszych nie znajdziesz. Gdyby nie wiadro — pomyślał, — byłaby już po mnie. Durnyż ten Marlipont! Nie był ciekawy, co za sznur, skąd, nic, dzięki ci, Panie, żeś mu rozumu nie dał... Co teraz? Gdzie ja? Tam fosa. Mur. Baszta. Cewinna? Nie do niej teraz! Szalony z wściekłości Marlipont musiał pognać do temporni, więc za nim, żeby nie zdążył.

Największym pędem puścił się Kręślin, ale niebawem postrzegł, że jakoś coraz wolniej bieży. Co jest!? Kroki małe jakieś. Mocny Boże — nogi się skurczyły! Poszukał wąsów na twarzy — nie! ma! Ani chybi Marlipont już w temporni i nie to, żeby tydzień, nie żeby mu rok ujął, ale dobry dziesiątek lat, mleko pod nosem teraz będzie mię szukał, aby jak szczenię utrupić...

Więc jak? Co robić? Na wieś wetrzeć się w bosą dzieciarnię, podły stan, ni omowe, głuptaka udać? A nie pozna, nie wyłowi mąż zazdrośnik? Stary on, to mu teraz będzie dopiero na trzydziesty szło! Biegł jednak, wciąż w stronę temporni, aż zobaczył lunę. Wieś się paliła. Jeszcze sobie sprawdzał na palcach, ileż to lat liczy teraz Cewinna, Cewinka raczej dwanaście...? To u ojca, margrabiego Hamsterbandzkiego, lalkom krynolinki szyje... Ależ luna! Żeby tylko tempora nie... Już był w opłotkach. Pali się chałupa Trzeszczypałowa, kmiecie w świtkach ciągną dobytek ku polom? Oj, nie dobytek, to zbrojni pobici, hołota im buty ściąga... Rabuje, jak zwykle na pobojuwisku... Pokotem leżą. Kto zacz? Dlaboga, barwy Marlipontowe, a tam z ognia wypada sam Marlipont, bezorężny, spieszony, bez miszurki, rwie aż blachami dzwoni, bo za nim konny szwagier i drugi też, z mieczem w rękę! To tak... widać im się majątność zwidziała, z opieki uczynili zajazd... wszakże tylko kiep tak sobie fortunę koryguje, nie rycerz Chronosa...

Ściągnął Kręślin suszące się gacie, jubki kmiece z płotu, do studni, z wiadra je obchlusnął, na łeb ciekące szmaciska, i do temporni, co już buzowała. Osmoliło mu brwi, żar zatchnął, a tu drzwi jakby od środka podparte — niedobrze! Smyrgnął w opłotki, dzieciak zawsze uwinie się prędzej od dorosłego, wyrwał pierwszemu leżącemu krócićę z za pasa, proch na panewce jest? Jest! Przyskoczył do okienka, z tej strony dyle tylko dymiły; alic po strzesze pierwsze błękitne płomyki latają, podniósł się na palcach, wejrzał do środka, tam Suwa z gardłem poderżniętym, z nogami na drzwiach, przez to nie puściły...

Nie miał innego sposobu. Wycelował w płonąca rękojeść lewara. Żeby ino nie za wielki impet, bo do tyła cofnę, że szczenę i nie będzie mnie na świecie, ach, diabli nadali! Tyle pomyślał, gdy wygarnął. Huku już nie posłyszał. Leżał na wznak, patrząc w nieobjemne,

chmurno szarzące niebo. Wiatr szumiał, cicho było i pusto. Bał się ruszyć. Jeślim osesek, to jakże do dźwigni doleżę? To była jego pierwsza myśl. Dotknął twarzy. Znówem gołowas, ale zęby w. gębie są. Dobrze i to. Nie mleczne aby? Nie mógł; się doliczyć trzonowców językiem.

— Saperlipopette! — spróbował rzec głośno. Wyszło — a więc nie srajdam!

Skoczył na równe nogi i ku temporni. O niej, myślał, nie o sobie, nie wiedział, czy mu osiem, czy czternaście lat! Musiał leżeć ku dźwigni po stołku (był jednak impet w kuli!), ucapił się rękojeści oburącz, mało, napał całym sobą do; przodu — i wrzasnął od zaskoczenia, bo aż huknął ciemieniem w strop, nie zeskoczywszy w porę ze stołka, rosnąc... Zmacał najpierw guz na głowie, potem wargi: nie masz czasomierza nad zarost! Dobrze jest, wąs się sypie!

Zatrzymał czas w środku nocy. Żebyż to! można ćwierćwiecze cofnąć, tam gdzie Marlipont i szwagrowie jeszcze od ziemi nie odrośli, oj, byłoby cudnie... Lecz wtedy nie to, że zniemowleję sam, ale wprost zniknę, jakby nigdy mnie i na świecie nie było. Oj, szkoda, gołymi rękami wybrałbym ich z kołysek. Do przodu też nie lza dać nadto, bo i Cewinna zmatronieje i nie wiadomo, czy nie stoi kto tam w przyszłości nad lewarem wznosząc miecz do cięcia — zdarzało się i takie!

Nie wiedział, co czynić, a tu ktoś jął się dobijać do drzwi. Były zaparte dylem, więc krzyczy tam basem na jakichś swoich, żeby duchem taran nieśli! Cofnął więc prędko Kręślin czas o tydzień i znowu już nikogo nie ma. Jam pan czasu, ale nie mogę się stąd ruszyć na krok, to mi piękne panowanie! Złapał Kozak Tatarzyna... Jakże, mieć tempornię za więzienie do końca dni lub tam i sam huścić się z plusquamperfectum w futurum? Impossibile est! Toż wnet tu z głodu uświerknę! A tu znowu ktoś maca zasuwę od zewnątrz i szept się niesie: „Puść miły, to ja, Cewinna!” Przywiązał ostrożny Kręślin sznurek do rękojeści i pilnie zerka w szparę. Jeśli nie ona, pociągnę, nim tamten wypali przez deski, a niechby nawet, to waląc się trupem sznur szarpnę, nazad pchnę byt i zmartwychwstanę! Rozmaicie z tym bywa. Nieraz, gdy bieda przyciśnie i stoisz wzięwszy lewar na siebie, aż czas furkoce gnając wstecz, pod nogami, po kątach, u ścian wyłaniają ci się skrzycone trupy, ozywają w odwróconej agonii, drapią, pazurami dyle zakrwawione i czezną jak dym, a gdy stał tak raz, dwu śmiertelnie sczepionych ze sobą wywaliło się z czasu i huknęli go w bok, że o mało nie wypuścił rękojeści. Nie, to naprawdę Cewinna, Wpuścił ją, skoczyła mu na pierś: „Ratuj! Zrób coś, żeby go nie było, żeby się nie urodził, patrzaj, jak mnie bije!” Pokazuje siniaki na ramionach, szramy... Najpierw kazał jej przynieść sobie krztynę jadła, choć jęczmienny placek, przydałaby się i gomółka sera... ledwie wysyła, zamierający tętent, chrapanie osadzanego wierzchowca, znowu? To się dopiero wściekł, poznając głos Marliponta, na czele pogoni za umkłą Cewinną, więc cofnął czas o rok — musiał! Już znowu ni strawy, ni napitku.

Manewrował i tak, i siak, aż znalazł się w okrążeniu — bo to i szwagrowie, i Marlipont ze swą zgrają, i sam burgrabia, i żebracy, i donosiciele królewscy, i oficerstwo garnizonu fortecznego (ciury armaty zataczają!) i jacyś miastowi z najemnymi, co chcieli anulować interes ze zbożem, i zbóje, hurma narodu koczuje wokół temporni, biorą go na przetrzymanie, już starców ściągną, zbroją ich, a zarazem na przeciwny wypadek maluchów gromadę musztrują, ucą muszkietami obracać, tak z obu czasowych stron biorą w potrzask nie szczęsnego Kręślina! Starcom tyłem nie umknie, a smarkaczom — przodem. I wołają: „Okrążonyś waść, parol, na parol rycerski wychodź”, bo się boją, zęby lewarom czegoś nie uczynił w desperacji — i to się trafia. W samej rzeczy mając do wyboru dyby (a tamci o to się już wadzili, czy ma iść w miejskie dyby, czy w burgrabiowe, czy do Marlipontowego loszku, czy do szwagrów) lub nicość, hańbę albo honorowy kres, wybrał dzielny, nie dopieszczony kochanek Cewinny straszniejsze, wzniosłe wyjście. Dał całą wstecz, pierwiej wszakże przytroczył sznurem lewar do belki w kącie: zginę, aliści czas dalej będzie mknął wstecz, wszystkich w niebyt wraz ze sobą wtrące!

Znikł prędzej niż obłoczek mgły na wicherze, a z nim i tamci. Dopiero gdy w dawniejszych wiekach sznur zetlał, dźwignia sama wróciła do środkowego położenia. A już puszcza rozrosła się wokół temporni, okamgnieniem stanął nieprzebyty las, żubry czochrały się o węgiel, szły miesiące, odbity od stada włochaty nosorożec wlaź rycząc, wywaliwszy spróchniałe drzwi i jak dym szczeł, gdy bodnął lewar rogiem — zamiast dębowego matecznika z rzadka na mokradle rododendrony i paprotniki nagozałążkowe, najwyraźniej epoka, zwana karbonem: ni ludzkich osad, ni samej temporni, nic, jeno punkt osobliwy, nad którym tęczowo drżało i gięło się powietrze...

Trurl wyłączył rzutnik, ściągał przewody, a król, nic nie mówiąc, usiadł na tronie, ale widać było, że nie nazbyt zbudowany tą projekcją. Klapaucjusz odchrząknął.

— Nie chcąc nużyć WKMości, w trzy słowa ujmę rzecz. Proces, jaki WKMość widział, jest typowy. Intryga była błaha, lecz czy taka, czy inna, zawsze zmierza ku podobnemu finałowi. Działania antagonistów zawsze ściągną się na coraz krótszym promieniu ku centrum, jakim jest punkt osobliwy, czyli miejsce, z którego można zawiadywać biegami czasu. Jeśli zasięg pojedynczej temporni uczynić wielkim, jeśli tym samym mało ich na planecie, to mało będzie też i ośrodków walki. Jeśli zasięg mały, centrów sporo i odpowiednio też ognisk starć więcej. Nic to jednak nie zmienia w istocie rzeczy. Można uczynić tak, by zwrotniczy czasu nie zostawał sam zagarnięty przez wywołaną zmianę. Lecz i to niczego nowego nie wnosi. Wtedy bowiem osobnik, co znalazł się w czasowni jako ostatni, zostaje zmuszony do ucieczki w przeszłość nader zamierzchłą, a ponieważ władztwo nad

czasem nie może być obojętne żadnym ludziom, logika konfliktu zniewala go ujść w erę zupełnego bezludzia. Tym samym ulega on wytrąceniu z historii i nie bierze więcej udziału w walkach o czasownię. Jeśli na planecie znajduje się tylko jeden punkt osobliwy, powstaje na niej jedno mocarstwo, nękane ruchami odśrodkowymi oraz centralnym zmaganiem o zawładnięcie sterem czasu przy czym zalecenia najmądrzejszych osób sprowadzają się do tego, by uczynić punkt osobliwy niedostępnym dla nikogo, na przykład poprzez wtłoczenie go eksplozjami w głąb planetarnej skorupy. Jeśli zaś wprowadzić zamiast punktów osobliwych czasownictwo pod postacią chronomocji, powstają chronoklazmy, eskapady, wyprawy łupieżcze, pojawia się konkwistadorstwo temporalne i chroniczny gangsteryzm, jako też próby monopolizowania chronomocyjnych technik, zawsze nieskuteczne, boż co jedni odkryli inni potrafią też prędzej czy później powtórzyć. Gdy zaś wziąć na rozruch nowożytność, przychodzi do wojen w czasie. Myśl strategiczna w tym, żeby okrążyć przeciwnika od strony przyszłości i spychać go na dno rozwoju — w przeszłość — czyli znów zaczyna się regres. Kto ma w rękę czas, ten ma władzę, więc toczy się o nią walka, potęgowana wykrywaniem nowych taktyk ataku i obrony w czasowym wymiarze...

— Jak widzę, odwracalny czas to źródło nowych bied, nie korzyści — rzekł zasepiony Hipolip. — Czy nie macie na to żadnej rady?

— Próbowaliśmy ograniczania ruchów w czasie dławikami akceleracyjnymi i innymi zabezpieczeniami, panie — rzekł Trurl — ale wtedy pierwszym celem zainteresowanych jest likwidacja owych ograniczeń.

— No, dobrze. A jeśli wziąć cywilizację o bogatej kulturze duchowej z wysokim standardem etycznym, liberalną, humanitarną i pluralistyczną?

— Taką możemy zaprogramować od ręki, miłościwy panie — powiedział Klapaucjusz. — Nie robiliśmy tego w przekonaniu, że to także nic nie da, lecz jeżeli taka jest wola królewska, prosimy patrzeć... Trurlu?

Wezwany ponaciskał sprawnie klawisze, przełożył kilka wtyczek, podkręcił amplifikator i westchnął.

— Gotowe.

— Która macierz?

— Czas jako funkcja zmian stałej grawitacyjnej.

Blask padł na alabastrowe płyty. Trurl wyostrzył obraz.

Cresslin pochylił się nad stołem.

— To ona? — spytał, patrząc na serię migawkowych zdjęć.

— Tak.

Generał poprawił sobie machinalnie rozporek.

— Sewinna Morribond. Nie poznajesz jej?

— Nie. Miała wtedy dziesięć lat.

— Musisz pamiętać, że ona nie poda ci żadnych szczegółów technicznych. Masz wy dostać od niej tylko wiadomości, czy oni mają już chondę, czy nie. Czy jest w stanie gotowości operacyjnej.

— Będzie wiedziała? Pan tego pewien?

— Tak. On nie jest papłą, ale przed mą nie ma tajemnic. Każda rzecz mu dobra, byle mógł ją zatrzymać. Prawie trzydzieści lat różnicy!

— Kocha go?

— Nie sędzę. Raczej imponuje jej. Pochodzisz z tych samych stron co ona, to dobrze. Wspomnienia dzieciństwa. Nie nadskakuj zbytnio. Zalecałbym rezerwę, męski urok. Ty to umiesz.

Cresslin milczał. Jego twarz przypominała skupieniem twarz chirurga nad polem operacyjnym.

— Dziś zrzut?

— Dziś, każda godzina jest droga.

— Czy my mamy operacyjną chondę? Generał chrząknął niecierpliwie.

— Tego nie mogę ci powiedzieć i dobrze o tym wiesz. Na razie trwa równowaga: oni nie wiedzą, czy my ją mamy, a my, czy oni. Gdyby cię dostali...

— Wyprują mi flaki, żeby się dowiedzieć?

— Pojmujesz chyba.

Cresslin wyprostował się, jakby już znał na pamięć twarz kobiety ze zdjęć.

— Jestem gotów.

— Pamiętaj o szklaneczce! Nawet nie odpowiedział.

Nie sły szał już słów generała. Spod metalowych lejów lał się na zielone sukno stołu blask jarzeniówek. Drzwi otwały się jak kopnięte, wpał adiutant z taśmą w rękę, dopinając na sobie mundurową kurtkę.

— Generale, koncentracja wokół Hassy i Doepping! Zamknęli wszystkie drogi.

— Zaraz. Gresslin, wie pan już wszystko. Tak?

— Tack.

— Powodzenia.

Dźwig stanął. Murawa odsunęła się i wróciła na swoje miejsce. W woń mokrych liści wchodził zapach drażniący, a prawie miły — azotków. Nagrzewają pierwszy stopień —

pomyślał. Latarki w rękach dalej stojących wychwytywały z mroku oka sieci maskującej.

— Anakolut?

— Avocado.

— Proszę za mną.

Szedł w ciemnościach za krępyim oficerem z gołą głową. Czarny cień śmigłowca otwarł się w mroku jak paszcza.

— Długa droga?

— Siedem minut.

Nocny bąk wzbił się hucząc, splanował, śmigło jeszcze pędziło, a już stali, niewidzialna trawa łaskotała go po nogach, zamiatana mechanicznym wiatrem.

— Do rakiety.

— Do rakiety, tak jest. Nic nie widzą. Jestem oślepiiony.

— Poprowadzę pana za rękę (kobiocy głos!) W tym jest smoking. Proszę się przebrać.

Potem nałoży pan ten pokrowiec.

— Na nogi też?

— Tak. Skarpetki i lakierki w tym futerale.

— Mam skakać boso?

— Nie boso. W tych skarpetkach. Potem zwinąć je razem ze spadochronem. Pamięta pan?

— Tak.

Puścił tę małą, mocną kobiecą dłoń. Przebierał się w ciemności. Złoty kwadrat. Papierośnica! Nie, zapalniczka. Szpara światła.

— Cresslin!

— Jestem.

— Gotów?

— Gotów.

— Do rakiety, za mną!

— Do rakiety. Tak jest.

Jeden ostry promień oświetlał schody, aluminiowe, srebrne. Ich szczyt topniał w mroku. Jakby miał wstąpić pieszo do gwiazd. Otwarta kłapa. Położył się na wznak. Jego lśniący plastikowy kokon szumiał. Lepił mu się do ubrania, da rąk.

— 30, 29, 28, 27, 26, 25, 24, 23, 22, 21, 20. Uwaga: 20 do zera 16, 15, 14, 13, 12, 11, uwaga za siedem sekund start. Cztery, trzy, dwa, jeden, zero.

Ponieważ oczekiwał grzmotu, ten, który go uniósł, wydał mu się słaby. Lśniący

pęcherzem plastik rozplaszczal się na nim jak żywy. Cholera, zakrywa usta, no! Z trudem odgarnął błoniaste zwoje, złapał dech.

— Uwaga pasażer. 45 sekund do szczytu balistycznej. Czy mam już liczyć?

— Nie. Proszę od dziesięciu.

— Dobrze.

— Uwaga pasażer. Apogeum balistycznej. Cztery warstwy chmur, cirrostratus i cirrocumulus. Pod ostatnią widoczność 600. Na czerwień włączę eżektor. Spadochron pasażera?

— W porządku. Dziękuję.

— Uwaga pasażer. Druga gałąź balistycznej, pierwsza warstwa chmur, cirrostratus. Druga warstwa chmur. Temperatura minus 44. Na dole plus 18. Uwaga, piętnaście do wyrzutki. Najazd na cel, zero na sto, boczne odchylenie w normie, wiatr NN2 6 metrów na sekundę, widoczność 600, dobra. Uwaga. Powodzenia! Wyrzutka!

— Do widzenia — rzekł, odczuwając groteskowość tych słów, wypowiedzianych do człowieka, którego nigdy nie widział i nie miał zobaczyć.

Wpadł w mrok, wystrzelony, w twarde od pędu powietrze. Świstało mu wokół głowy, koziółkował. Naraz poderwało go z lekkim trzaskiem, podjechał głową wysoko, jakby ktoś zaczął go wylawiać z mroków niewidzialną wędką. Spojrzał wzwyż — czasza spadochronu była niedostrzegalna.

Dobra robota.

Spadał, nie wiedząc, jak szybko. Coś majaczyło pod nogami. Tak jasno? Diabli! Byle nie to jezioro. Jedna szansa na tysiąc, ale co można... Doszedł go miarowy, lekki szmer, gdy nogami dotknął falującej powierzchni. To było morze. Znurkował w nim. Nakryła go czasza spadochronu. Skulony odpiął szelki, zaczął zwijać mszysty, dziwaczny materiał, w dotyku podobny do pajęczej gazy. Zwijał go i zwijał — to było najbardziej mozolne. Bodaj pół godziny. Na razie mieścił się w chronogramie. Już włożyć te lakierki, czy jak?

Lepiej już. Plastik odbija światło.

Zaczął rwać na sobie tę osłonę, miękką jak tofana, jak gdyby samego siebie rozpakowywał. Nocny upominek. Prezent. Lakierki, chusteczka, nożyk, wizytówki.

Gdzie szklaneczka?

Serce mu zabiło, lecz palce już ją znalazły. Nie widział jej, chmury pokrywały całe niebo. Ale potrzęsnał nią i wyczuł chlupot. W środku był wermut. Nie zdarł z niej hermetyzującej błonki. Na to będzie czas, można potknąć się, wylać. Włożył szklaneczkę na powrót do kieszeni, upchnął zwinięty spadochron w futerał, włożył tam te skokowe, mięsiste

skarpety, podarty plastikowy kokon. Podobno nic nie *marze* się od tego zapalić. Ale gdyby? Czy nie lepiej wyleźć z tego zboża?

Instrukcja wie lepiej.

Odnalazł na zgrubiałym dnie futerału uchwyt, włożył weń palec, szarpnął, jakby otwierał puszkę piwa, rzucił futerał w to wygniecione przez upadek miejsce w zbożu i czekał.

Nic, trochę dymu. Ani płomienia, ani iskier, ani blasku. Niewypał?

Sięgnął ręką na oślep i omal nie krzyknął, bo nie było tam już twardo nabitego futerału, pełnego tkaniny, linek — kupka ciepłych, ale nie parzących szczątków jak zwęglone wiechcie papieru.

Dobra robota.

Poprawił na sobie smoking, muszkę i wyszedł na drogę. Szedł poboczem dość szybko, ale nie nazbyt, żeby się nie spocić. Drzewo, ale jakie? Lipa? Chyba jeszcze nie. Jesion. Na pewno? Nie widać. Kapliczka ma być za czwartym. Kamień milowy. Zgadza się.

Kapliczka wychynęła z nocy pobieloną ścianą. Po omacku szukał drzwi. Uchyliły się lekko. Czy nie za lekko? A jeśli nie zaciemniono okien?

Postawił na kamiennej podłodze zapalniczkę, nacisnął. Czysty biały blask wypełnił zamkniętą przestrzeń, błysnął w poszarzałych złoceniach ołtarzyka, w szybie, zaklejonej od zewnątrz czymś ciemnym. Przejrzał się w tej szybie z największą uwagą, okręcając się, kolejno sprawdzając ramiona, rękawy, wyłogi smokinga, patrząc z boku, czy nie przyłgnał gdzieś skrawek plastikowej folii. Poprawił chusteczkę w kieszonce, podnosił się na palcach jak aktor przed występem. Oddychając spokojnie, czuł słabą woń wygaszonych świec, jakby paliły się niedawno. Zamknął zapalniczkę, znów w mroku, wyszedł, stąpając ostrożnie po kamiennych stopniach i rozejrzał się. Było pusto. Obrzeza chmur bieleły miejscami, księżyc nie mógł się przedrzeć, było uczciwie ciemno. Końcem języka, już krocząc miarowo asfaltem, dotknął korony zęba mądrości. Ciekawe, co w niej jest. Oczywiście nawet nie chronda, nawet nie jej zdalny zapalnik. Ale trucizny też nie może tam być, przez sekundę widział to, co „dentysta” kładł pinsetką do złotego pudełeczka korony, nim zalał ją cementem. Grudka mniejsza od groszku, jak ulepiona z kolorowego maczku cukrowego dzieci. Nadajnik? Ależ nie miał mikrofonu. Nic. Dlaczego nie dali trucizny? Widocznie nie była potrzebna.

Dom wychynał w oddali zza kępy di zew, oświetlony, gwarny, muzyka niosła się w ciemny park. Na gazonach drżał poblask okien. Na piętrze naturalnie świece, w kandelabrach z profitkami. Teraz liczył słupka ogrodzenia, przy jedenastym zwolnił, stanął w cieniu padającym od drzewa, dotknął palcami siatki, odwinęła się sprężynując, lekko przestąpił jej

dolny zwój, który nie ze wszystkim się ściągnął, przekroczył przeszkodę i był już w ogrodzie. Od cienia do cienia, aż przy wyschłej fontannie wyjął z kieszeni szklaneczkę, paznokciem podważył folię co ją zaklejała, zerwał ją, zmiął i włożył do ust by od razu popić małym łykiem wermutu. Tai z tą szklaneczką aperitif w palcach poszedł swobodnie środkiem ścieżki w stronę domu, bez pośpiechu, gość wracający z krótkiej przechadzki co się zgrzał tańcem i szukał ochłody. Wytarł chustką nos, przekładając szklaneczkę z ręki do ręki, między cieniami tych, co stali po obu stronach drzwi, nie widział twarzy, czuł tylko przeprowadzające go nieuważnie spojrzenia.

Blask był prawie błękitny na pierwszych schodach, ciepłozółty na drugich, muzyka grała walca. Gładko — pomyślał. Czy nie za gładko? Tłum był na sali. Nie od razu ją dostrzegł. Stał już o dwa kroki od niej, otoczonej przez mężczyzn z orderowymi wstążeczkami w klapach, gdy w drugiej stronie sali rozległ się łomot, ktoś tam upadł, lokaj w liberii, a z takim rozmachem, że taca pełna kieliszków wyskoczyła mu z ręki, bryzgając białym i czerwonym winem. Co za niezgrabiasz. Otoczenie Sewinny zwróciło tam głowy jak na komendę. Jeden Cresslin patrzył na nią. Zdziwił ją ten widok, choć ledwie do niej docierał.

— Pani mnie nie poznaje. Prawda?

— Nie.

Zaprzeczyła, żeby odtrącić. Uciąć. Uśmiechał się spokojnie.

— A karego kucyka pamięta pani? Z białą strzałką. I chłopca, który wystraszył go balonem?

Poruszyła powiekami.

— To pan? — Tak.

Nie musieli się zaznajamiać, skoro znali się jako dzieci. Tańczył z nią tylko raz. Później trzymał się raczej z daleka. Za to dobrze po pierwszej wyszli do parku. Wymknęli się drzwiami, które tylko ona знаła. Gdy chodził z nią po alejkach, zauważył to tu, to tam stojących ludzi w cieniach drzew. Aż tylu. Nie dostrzegł ich nawet, przekraczając siatkę. Dziwne.

Sewinna patrzyła na niego. Jej twarz bielała w księżycu, który zwyciężył chmury, w drugiej połowie nocy — tak, jak miało być.

— Nie poznałabym pana. A jednak przypomina md pan kogoś. Nie tego chłopca. Kogoś innego. Dorosłego chyba?

— Pani męża — odparł flegmatycznie. — Kiedy miał dwadzieścia sześć lat. Musi pani znać go ze zdjęcia... z tych czasów.

Zamrugła powiekami.

— Ależ tak. Skąd pan to wie? Uśmiechnął się.

— Z obowiązku. Prasa. Chwilowo... korespondent wojenny. Ale z cywilną przeszłością.

Nie zważała na jego słowa.

— Pan jest z tych samych stron, co ja. Zastanawiające.

— Czemu?

— Jakieś... niedobre nawet. Nie wiem, jak to wyrazić. Prawie się boję.

— Mnie?

Był szczery, naiwny, zdziwiony.

— Nie, co znowu. Ale to jest jakby... jakby dotknięcie losu. To pana podobieństwo i to, że| znaliśmy się jako dzieci.

— Co w tym takiego?

— Nie mogę panu wytłumaczyć. To jakby aluzja. Do tej nocy. Jakby to coś znaczyło.

— Pani jest przesadna?

— Wracajmy. Robi się chłodno.

— Nigdy nie należy uciekać.

— Cóż pan tam znowu?

— Nie należy uchylać się przed losem. To niemożliwe.

— Żeby pan wiedział.

— Gdzie jest pani kucyk?

— A pana balon?

— Tam, gdzie my będziemy za sto lat. Wszystkie rzeczy rozpuszczają się w czasie.

Nie ma mocniejszego rozpuszczalnika.

— Mówi pan, jakbyśmy byli starzy.

— Czas jest dla starych zabójczy. Ale niepojęty dla wszystkich.

— Myśli pan?

— Wiem.

— A gdyby?

— Proszę?

— Nie, nic.

— Pani chciała coś powiedzieć.

— Zdawało się pana.

— Nie zdawało mi się, bo wiem, co to było.

— Ej?

— Jedno słowo.

— Jakie?

— Chronda. Drgnęła. To był strach.

— Co pan...

— Proszę się nie bać. Jesteśmy oboje parą outsiderów, którzy wiedzą (oprócz pani męża i specjalistów doktora Souvy), Tych w ośrodku Neggeneu.

— Co pan wie? Skąd?!

— To samo, co pani.

— Niemożliwe. To tajemnica.

— Toteż nie powiedziałbym tego słowa nikomu poza panią. Wiedziałem, że pani wie.

— Jak mógł pan wiedzieć? Pan... sporo ryzykuje. Wie pan o tym?

— Nic nie ryzykuję, bo moje wiadomości nie są ani mniej, ani bardziej legalne niż pani. Z tą różnicą, że ja wiem, od kogo pani usłyszała, a pani nie wie, skąd ja.

— To nie jest różnica na pana korzyść. Skąd pan wie?

— A powiedzić, skąd pani — — — ?

— Czy wie pan też... kiedy?

— Niezabawem...

— Niezabawem! No, to pan nic nie wie!

Drżała prawie.

— Nie mogę pani powiedzić. Nie mam prawa.

— A tamto?

— Tamto powiedziałem, bo tyle wyjawiał pani mąż.

— Czy ktoś... skąd pan wie, że om?

— Nikt z rządu nie wie poza premierem. Premier nazywa się Morribond. Czy to nie proste?

— Nie. W jaki sposób? A! Podśluch?!

— Nie. Raczej nie sędzę. Był zbędny. Musiał to pani powiedzić.

— Dlaczego? Pan wyobraża sobie, że ja...

— Nie. Właśnie dlatego, że pani nigdy by tego mię zażądała. Musiał, bo chciał dać pani coś, co miało dla niego najwyższą wartość.

— Ach, więc nie podśluchem, tylko psychologią?

— Tak.

— Która godzina?

— Druga za sześć.

— Nie wiem, co się stanie z tym wszystkim.

Patrzała w dookolny mrok. Cienie gałęzi, płaskie i wyraźne, wibrowały na zwirowanej ścieżce i chwilami wydawało się, że są nieruchome i że to ziemia drży. Muzyka dobiegała ich jakby z innego czasu.

— Jesteśmy tu skandalicznie długo. Pan nie domyśla się jeszcze, czemu?

— Zaczynam.

— Tajemnica, która... zrobi to ze światem, nie jest już żadną tajemnicą na chwilę przed... godziną zero. Być może przestaniemy istnieć. To pan też wie?

— Wiem. Ale to nie miało być tej nocy.

— Miało.

— Jeszcze były jakieś... komplikacje. Ale już ich nie ma.

Prawie dotykała go pierśmi. Mówiła do niego, ale go nie widziała.

— On będzie młody. Jest tego zupełnie pewien.

— Ależ tak.

— Proszę nic nie mówić. Nie wierzę, nie mogę, chociaż wiem, to byłoby jak za darmo, tak nie bywa. Ale teraz już wszystko jedno. Nic nie może tego odmienić. Nikt. Albo zobaczę go takim, jak pan jest teraz, albo Remmer mówił... możliwy jest uślizg, w depresji... stałabym się dzieckiem. Pan jest ostatnim człowiekiem, do którego mówię przedtem.

Drgała. Objął ją ramieniem i podtrzymał. Jakby nie wiedząc, co mówi, wybełkotał:

— Ile czasu... zostało?

— Minuty... druga pięć... — szepnęła. Miała zamknięte oczy.

Pochylił się nad jej twarzą, równocześnie naciskając językiem ten metalowy ząb tak mocno, jak tylko mógł. Usłyszał w głowie leciutki trzask i zapadł się w nicość.

Generał dotknął machinalnie spodni.

— Chronda jest bombą temporalną. Wybuch jej powoduje powstanie lokalnej depresji w czasie. Mówiąc obrazem: jak zwykła bomba tworzy w gruncie lej, depresję przestrzenną, tak chronda wgłębia się w terażniejszość i pociąga czy też wypycha całe otoczenie w przeszłość. Rozmiar cofnięcia w czasie, tak zwany retrointerwał, zależy od wielkości ładunku. Teoria chronopresji jest zawiła i nie mogę jej panom wyłożyć. da daje się wszakże ująć prosto. Upływ czasu zależy od ciężenia powszechnego. Nie od lokalnych pól ciężkości, lecz od wszechświatowej stałej grawitacyjnej. Nie od samej grawitacji, lecz od jej zmiany. Grawitacja zmniejsza się w całym Kosmosie i to jest niejako droga strona upływu czasu. Gdyby się grawitacja nie zmieniała, toby czas stał. Nie byłoby go wcale. To jest jak z wiatrem. Gdzie jest wiatr, gdy nie wieje? Nie ma go nigdzie, bo on jest ruchem powietrza.

Tak się dziś tłumaczy powstanie Kosmosu. On nie powstał, lecz bytował beczasowo, dopóki grawitacja była niezmienna, aż zaczęła się jej redukcja. Odtąd Kosmos się rozszerza, gwiazdy krążą, atomy drgają, a czas płynie. Istnieje związek grawitonów z chrononami i ten związek wykorzystano dla zbudowania chronody. Na razie nie umiemy manipulować czasem inaczej, aniżeli gwałtownie. Jest to zapaść, czyli implozja, a nie eksplozja, wybuch. Największe cofnięcie się w czasie zachodzi w punkcie zero. O 1.59 Gresslin wcisnął zgręz. Po dwunastu sekundach odpaliły wszystkie nasze operacyjne chronody pogotowia strategicznego. Implozja była kumulatywna. Dlatego obszar rażony chronopsją ma kształt prawie regularnego koła. W punkcie zero depresja wynosi prawdopodobnie 26 do 27 lat. Ta wielkość stopniowo zmniejsza się ku obwodowi. Na rażonym obszarze nieprzyjaciel miał laboratoria, składy, pracownie oraz podziemne poligony chronopresyjne. Ponieważ rozpoczął te prace około 9 do 10 lat temu, obecnie nie ma tam już nic, co stanowiłoby dla nas zagrożenie. Powierzchnia rażenia ma, jak panowie „widzicie na tej mapie, około 190 mil średnicy...

— Generale! I

— Słucham.

— Na jakiej podstawie utrzymuje pan, że dzięki Cresslinowi uprzedziliśmy choralny cios nieprzyjaciela?

— Rozkaz brzmiał: jeśli do uderzenia będzie więcej niż 24 godziny, nie wolno mu tknąć zgręzu. Jeżeli dowie się jakichkolwiek szczegółów akcji, dotyczących jej terminu, wielkości ładunków, ilości chond, ma to sygnalizować przez wyodrębniony pierścień naszego wywiadu. Jeśliby wróg miał nas zaatakować w obrębie doby, a Cresslin nie zdoła się skontaktować z pierścieniem, winien był uruchomić automatyczny nadajnik, zakopany w lesie pod Hassy. I tylko w wypadku, gdyby nie było czasu na dotarcie do sygnalizatora, a atak w najbliższym czasie byłby całkowicie pewny, wolno mu było nacisnąć zgręz. Podkreślam: Cresslin nie znał mechanizmu implozji chronopresyjnej, nic nie wiedział o naszych chondach, nie wiedział nawet, co to jest zgręz. Czy pan minister uważa moją odpowiedź za wystarczającą?

— Nie. Uważam, że zbyt wielką odpowiedzialnością za losy całego świata ośmieliliście się obciążyć jednego człowieka, agenta. Zresztą wszystko jedno, agenta czy nieagenta. Jak mógł jeden człowiek decydować sam? I

— Pozwoli pan udzielić sobie dalszych wyjaśnień. Nasze wiadomości nie równały się zeru przed akcją Cresslina. Oczywistym celem nieprzyjaciela musiał być nasz ośrodek choralny. Obie strony nie znały jedynie wzajemnego zaawansowania prac. Lokalizację naszego kompleksu C znali tak, jak my znaleźliśmy dyslokację ich chronoratoriów. Ukrycie tak

olbrzymich kompleksów jest niemożliwe.

— Pan nie odpowiedział na moje pytanie.

— Właśnie zaczynam. Jeśli zataczać koncentryczne kręgi malejącego rażenia wokół naszego kompleksu C, to Hassy znajduje się w strefie uwstecznień o dekadę, a Leylo, jako leżące bliżej C, w strefie depresji dwudekadowej. Wczoraj rano uzyskaliśmy wiadomość, że Morribond nie będzie obecny na przyjęciu, które kanclerz urządza w swojej rezydencji w Hassy, mieliśmy natomiast nadzieję, że Morribond wyjeżdża na inspekcję wojsk rozlokowanych wzdłuż granicy z nami. O ósmej wieczorem przyszła wiadomość, że zamiast udać się do ośrodka garnizonowego Aretanu., zatrzymał się w Leylo.

— Czekajże pan, generale! Czy chce pan przez to powiedzieć, że Morribond usiłował wykorzystać ten chronalny cios, który mieli nam zadać, żeby się przy okazji odmłodzić?

— No... owszem. To jest zdanie naszych ekspertów. Morribond ma... miał sześćdziesiąt lat, jego żona dwadzieścia dziewięć Minus dwadzieścia lat dla niego i minus dziesięć dla niej — czterdziestoletni mężczyzna i dziewiętnastolatka. Ponadto zachodziła ta, bodaj decydująca okoliczność, że on jest chory na myasthenia gravis. Lekarze dawali mu dwa, najwyżej trzy lata życia.

— Czy to jest pewne?

— Tak. Praktycznie pewne. Istotną rolę grał też — myślę sobie — jego, hm, specyficzny zmysł humoru. Kodowe hasło operacji brzmiało „Balkon”.

— Nie rozumiem.

— No jakże? Romeo i Julia. Scena balkonowa... przy jej okazji miał ulec zniszczeniu cały nasz potencjał chronalny.

— Ale stało się na odwrót?

— Istotnie, bo podałem wyliczenia przy założeniu, że miejscem implozji byłby nasz kompleks C, zgodnie z ich planem strategicznym. Dla Lego wysłał żonę do Hassy, a sam udał się do Leylo, położonego tuż przy naszej granicy. Uznawszy po naradzie w sztabie generalnym sytuację za krytyczną, wysłaliśmy Cresslina natychmiast, to znaczy tak szybko, jak się dało. Wylądował około pomocy pod Hassy. Ponieważ uderzyliśmy pierwsi, izochrony depresji miały odwrotny kierunek spadku, niż planował nieprzyjaciel. Odwrotny, skoro to myśmy ugodzili ich kompleks chronalny.

— Więc cóż z tego? Morribond stał się mniej młody, niż chciał, a jego żona bardziej... jakież to ma znaczenie strategiczne? Proponuję porzucić ten temat.

— To ma znaczenie strategiczne, a zarazem polityczne, panie podsekretarzu stanu, gdyż musi je mieć zmiana na stanowisku premiera nieprzyjacielskiego rządu. Implozja, wywołując

depresję, na samej granicy swego zasięgu wytwarza małe, koncentryczne wybrzuszenie wokół punktu zero. To analogia do efektu zwykłej bomby: centrum wybuchu zagłębia się, a dookoła powstaje wał kraterowy. Chronda stłacza terażniejszość wstecz, a na granicy implozji czas przesuwa się naprzód. Jest to tak zwany efekt kompensacyjny. Właśnie Leylo znajdowało się w jego obrębie. Oznacza to, że czas posunął się tam o 9 do 10 lat.

— Morribond ma siedemdziesiątkę? Doskonale! — zachichotał ktoś z siedzących przy zielonym stole.

— Nie. Zgodnie z tym, co powiedziałem o jego chorobie, Morribond nie żyje. Czy są jeszcze pytania?

— Chciałem się dowiedzieć, w jakiej postaci aktualizuje się przeszłość po implozji chrondy Fizycy utrzymują, że przeszłość, jako czas doskonale odtwarzalny, do którego można wrócić nie istnieje.

— To prawda. Implozja nie powoduje idealne go cofnięcia się kalendarza. Nie restytuuje więc konkretnego stanu, który istniał w konkretnym roku, dniu, godzinie i minucie. Każdy obiekt materialny staje się tylko młodszy — przeszłość jako konstelacja wydarzeń, co raz zaszły, ani nie powraca, ani się nie powtarza. O tym, czy to na pewno niemożliwe, eksperci nasi wolą się nie wypowiadać. W każdym razie modelem działania chrondy może być sytuacja na boisku piłkarskim, gdy gracz kopnie piłkę, a drugi graca odrzuci mu ją z powrotem. Wracająca piłka nie padnie dokładnie w to samo miejsce. To dla tego właściwy przykład, bo piłkę trzeba kopnąć nie można jej natomiast przenieść przy użyciu precyzyjnych mikrometrów. Implozja też stanowi interwencję w czasie, gwałtowną i nieobliczalną w mikroskopijnych szczegółach.

— A przecież sam pan mówił, generale, że człowiek sześćdziesięcioletni staje się czterdziestolatkiem!

— To coś innego. Jego organizm okazuje się o tyle lat właśnie młodszy fizjologicznie. To samo zachodzi z każdym przedmiotem. Stare drzewo pomłodnieje, zmieni się w sadzonkę. Ale gdyby, powiedzmy, wziąć szkielet, który sto lat przeleżał w ziemi, i z którego przed rokiem usunięto cześć kości, to po implozji będziemy mieli przed sobą szkielet, wykazujący w badaniu, że leżał w ziemi tylko osiemdziesiąt lat ale te kości, które wyjęto z niego, nie pojawią się z powrotem. Jeśli ktoś stracił niedawno nogę, to nawet po implozji z ćwierćwiekowym retro-interwałem jej nie odzyska. Dlatego chronda nie jest uwikłana w tak zwane paradoksy przyczynowe, związane z idea podróżowania w czasie. Organizm pod implozją restytuuje swoją żywotność w granicach wyznaczonych jego fizjologicznymi możliwościami.

— A maszyny? Książki? Gmachy? Plany?

— Gmach, wzniesiony sto lat temu, zmieni się nieznacznie. Lecz budowla z betonu, który stężał przed ośmiu laty, okaże się rumowiskiem piasku, cementu, legarów, ponieważ beton stancje się, więc tym samym nie może istnieć jako beton przed chwilą, w której powstał ze zmieszania odpowiednich składników. To samo dotyczy wszelkich obiektów, jak mówiłem, także maszyn.

— Czy to całkowicie pewne, że nieprzyjaciel nie dysponuje już potencjałem dla przeciwuderzenia?

— Takiej pewności nie mamy w stu procentach, Pesymistyczne oceny uznają, że zniszczyliśmy 80% ich chronopotencjału, optymistyczne, że do 98%,

— Czy chondy nie można zastosować w żaden inny sposób, jako tylko do zniszczenia chond nieprzyjacielskich?

— Można, panie prezesie, ale zniszczenie chond wroga oraz ich bazy wytwórczej było absolutnie priorytetowe. Mając nasz potencjał nienaruszony, uzyskaliśmy zupełną przewagę strategiczną i taktyczną. Panowie zechcecie zrozumieć, że nie mogę teraz nic powiedzieć w kwestii, jak użyjemy tego potencjału. Nie ma więcej pytań? Dziękuję panom. Co tam? To głośnik? Proszę o spokój!

— Uwaga. Uwaga. Alarm pierwszego stopnia!! Lokatory obserwują zejście satelitów wroga z orbit trojańskich w liczbie czterech. Przeciwrakiety obrony balistycznej przedpola odpalone i wychytane aktualnie przez wroga. Jeden satelita zniszczony trafieniem pełnym. Trzy satelity na radiancie dzeta wytracają pierwszą kosmiczną, Decyzje lokatorów utrudnia obłok jonowy maskujący, wyrzucony przez symulacyjne główce pierwszego zniszczonego satelity. Uwaga. Uwaga! Naziemne indykatory nawodzenia będą podawały na bieżąco w bezpośredniej łączności za stacjonarnymi satelitami naszej osłony prawdopodobnie cele, namierzone przez wroga. Uwaga, cel pierwszy: kompleks C z odchyleniem skrajnym 20 do 25 mil od punktu zero

— Uwaga, cel drugi, kwatera główna, powtarzam, kwatera główna, z odchyleniem skrajnym 7 do 9 mil od punktu zero.

Dwadzieścia procent ich chronomocy leci nam na głowy!! — ryknął ktoś. Siedzący dotąd za zielonym siołem zerwali się. Zaszurgotały krzesła, któreś upadło, niedaleko wyła żałośnie syrena.

— Panowie! Proszę pozostać na miejscach! Implozja nie jest niebezpieczna dla życia! Nie ma możliwości izolacji ani ukrycia! Prosię zachować spokój! — nadrywał się generał.

— Uwaga, Uwaga. Drugi satelita zniszczony w jonosferze salwą raketową. Dwa

pozostałe satelity weszły w martwe pole obrony podorbitalnej. Zmieniają kurs Podług lokatorów osłony bliskiej z siedemdziesięciokrotnym przecięciem i odpalają atrapy. Uwaga. Dwa wrogie satelity w osi celu numer jeden i numer dwa. Wchodzą w perymetr optyczny rażenia bezpośredniego. Uwaga. Ogłaszam alarm najwyższego zagrożenia. Osiem sekund do zera. Siedem do zera. Sześć. Pięć, Cztery. Trzy. Dwa. Uwaga ze — — —

Obraz zgasł i zapanowało milczenie.

— Nie jest to szczególnie zachęcające! — stęknął Hipolip. — A gdyby czas mógł się rozgałęziać? Nie przymierzając jak rzeka. I gdyby go można regulować jak system kanałów? Co?

— Próbowaliśmy i tego — rzekł Trurl. — Efektem jest pandemonium. Powstają prywatne czasy, wyboczone w kształt za bok i rozlewisk, biorące początek z eksternalizacji marzeń sennych. Powstaje chronautyka wywrotowa, zagrażają rozpadem społecznym, więc prześladowana przez władze. Pojawiają się osobiste dowody terażniejszości, podatki retrochronalne, chronicja, interchron, straż trwaniczna, przemyt w międzyczasach, gangi, wskrzeszające kaźnionych zbrodniarzy, czasokrażcy i korpusy bezpieczeństwa kalendarzowego. Powstaje masowe wychodźstwo temporalne, ścisk, jedni pchają się drugim modne epoki, równocześnicy usiłują eksmitować dzikich czasokrażców, wszystkim bowiem Bóg wie czemu wydaje się, że w innym czasie na pewno jest lepiej. Dochodzi do maskowania, ciulania i zgrabiania cennych momentów, powstaje giełda sekularna, wytwarza się czasy fałszywe lub idące kołem, chroniczne więzienia i lochy Buduje się perpatuatory erotyczne, mistyczne i polityczne, jako też wyciągarki czarownych chwil. Tłumy emigrantów, reemigrantów i kontr emigrantów gnają w przeciwne strony przez stulecia, pukając się przy mijaniu w czoła. Dochodzi do tak zwanych drgawek wojennych i chromania przestankowego historii, a to, gdy czasobójcy, poduszczeni przez jedno państwo, likwidują przyszłego Cezara drugiego państwa w powijkach. Ów nie dorasta, nie zostaje Cezarem nie odnosi zwycięstwa, znika więc potrzeba dławienia go w pieluszkach, wtedy dorasta cało toczy zwycięskie wojny, znów wysyła się zatem czasobójców do jego kolebki i tak w kółko. Wykryliśmy osiemset rodzajów tak zwanego circulus temporalis vitiosus, ale sądzę, że może ich być nieskończenie wiele. No, a chronoperwersje?! Futurofilia, zegarowy fetyszyzm, delectatio temporosa, autopedofilia, czyli napastowanie przez lubieżnych starców samych siebie jako niewinnych istotek z lat sielskiego dzieciństwa, a chronania? A dumpingowy import przyszłościowych technologii, wywołujący gospodarcze kryzysy? A porywanie w czasie? Miłościwy królu, godzinami mógłbym ciągnąć te wyliczenia. Najgoręcej, jak mogę, odradzam...

— Dobrze! Przekonaliście mnie, że czas odwracalny i podzielny bo niewdzięczna

własność Stworzenia — rzekł król, wyraźnie poirytowany. — Ruszcie więc konceptem. Śmielej! Pomyślcie choćby nad tym: świat niniejszy zachowuje się dość neutralnie. Ani zbyt nie sprzyja swym mieszkańcom, ani ich nadto nie gnębi. Ta obojętność łatwo rodzi frustrację. Jak wiadomo, chłodna obojętność rodziców wykołaja dzieci, cóż dopiero obojętność świata! Czyż nie powinien być zapobiegliwy, opiekuńczy, dbający o lokatorów na każdym kroku, uprzedzający ich życzenia? Jednym słowem, nie oni do niego, lecz on się do nich powinien dostosowywać! Powiedzmy, że strudzony wędrowiec spada z grzędy skalnej w przepaść, bo się pośliznął. Rozbije się na miazgę. A w naszym świecie zapobiegliwe miejsce upadku zmięknie szybciotko na puch. Wędrowiec otrzepie się i ruszy w swoją drogę. Co? (Król się zapalał). Czy to nie dobre? Dlaczego nic nie mówicie?

— Ponieważ życzliwość to rzecz względna — rzekł Klapaucjusz. — Trzymajmy się tego wędrowca. Kto to jest? Może miał dość życia i rzucił się w przepaść? Czy w takim, wypadku ka mienie mają pozostać twarde? Ale to zakłada czytanie myśli.

— Powiedzmy. Co z tego, jeśli nic nie ogranicza nas jako stwórców? — odparował król.

— Co z tego? Wędrowiec ten niesie, założmy doniosłą wieść. Jeśli ją doniesie, Aurydzi zwyciężą Benidów, a jeśli nie doniesie, wojnę wy grają Senacki. Podług Aurydów głązy winny zmięknąć, a zgodnie z Benidami, powinny by stać się jeszcze twardsze. Ale to nie wszystko. Jeśli ten wędrowiec przejdzie cało przez góry, spotka niewiastę, która urodzi mu syna. Ten syn opisać posłannictwo ojca jako czyn podły i haniebny Nazwie go zdrajcą, bo zapomniałem rzec, że wędrowiec sam był Benidą. Synowskie oskarżenie tak wstrząśnie sumieniami, że otoczony powszechną wzdardą ojciec pisarza powiesi się, Jeśli życzliwa gałąź trzaśnie, skoczy do wody, Jeśli miłosierna woda wyrzuci go na brzeg, połknie truciznę. I tak dalej. Jak długo ma życzliwy świat powiększać jego zgryzotę duchową, udaremniając mu fizyczny kres? Więc może niech lepiej wisi? Lecz jeśli tak, co jest lepsze: zginać bezdziejnie w przepaści czy powiesić się na skutek postępku syna? Król pozwoli, że nie dopuszczę go do głosu. Wiem, co król chce powiedzieć: wszystko w tym, czy ów wędrowiec istotnie był zdrajcą, a zatem, która z walczących stron zasługiwała na zwycięstwo. Założmy, że sprawiedliwy; mąż życzyłby go raczej Benidom jako słabszym orężnie, lecz szlachetniejszym w duchu. Więc źle się stało, że wędrowiec zdradził swoich i doprowadził do aurydzkiego triumfu. Wszelako rzecz się tu nie kończy, gdyż nie streszczam powieści, ale dzieje powszechne, a te nie mają końca. Zapanowawszy nad Benidami, Aurydzi w sto lat, ani wiedząc jak, podlegli wpływom zwyciężonych. Pojęli wtedy niewłaściwość wojennego gwałtu, utworzyli z Benidami związek równych z równymi, w którym obu narodom było

dobrze. Więc głązy nie powinny były zmięknąć. Możemy wszakże w równoległym przebiegu ustalić, co będzie, jeśliby wędrowiec zginał, Zwycięzą wtedy Benidzi. Zwycięstwo to obróci naród dotąd pokojowy, pielęgnujący sztuki, w wojowniczy. Sztuka pójdzie we wzgardę, zaczną się podboje, a w sto lat ze sprawiedliwych ongiś powstaną łupieżcy, przeciw którym obróci się na koniec cała planeta. I cóż? Ze względu na tak fatalny obrót sprawy, głązy powinny przecież zmięknąć, choć leciał na nie zdrajca. A ponieważ dzieje, które opowiadam, muszą, jak każde dzieje, mieć dalszy ciąg wedle tego, czy patrzymy w skutki upadku o pięć, pięćdziesiąt lub pięćset lat naprzód, głązy powinny raz twardnieć, a raz mięknąć. A zatem świat spolegliwy doskonale będzie musiał, niestety, zwariować, usiłując robić rzeczy wzajem sprzeczne.

— Tak? No to sami wymyślcie coś lepszego! — na dobre już rozgniewał się król Hipolip. — Po to was wezwałem! Dlaczego istoty, którymi zaludniacie próbne Uniwersa, są kubek w kubek takie jak my?!

— Król daje nam do zrozumienia, że popełnia my plagiaty — odparł Klapaucjusz, powściągną rosnącą irytację. — Król ma słuszość. Powinien jednak wiedzieć, że robimy to nie od braku, lecz od zbytku wiedzy. Niczym nie zmacony ład trwa tylko we wspólnotach zmyślnych, lecz bezrozumnych. Krzątają ci się jak w ulu, bez pretensji o egzystencjalną nierówność. Żadnych nieśna sęk, innowacji ku gorszemu, harmonia i ład. Nie wypełniamy naszych światów taką harmonią, bo król uczyniłby obiekcję, że to harmonia z bezmyślności. Król łaknie Uniwersów pełnych rózu mu. Łaknie ich każdy Stwórca, jeden Bóg wie czemu. Wszak rozum jest nienasyceniem, be stwarza bezlik możliwych działań, które się wzajem wykluczają. Orłem rozumu jest genialność a reszką potworność, gdyż jest on wolny w sobie, czyli bez granic — w obie strony. Rzecz jasna, można zaprogramować szczytną harmonię rozumu. Program, odwijający się pod świadomością, wsącza w nią same wzniosłe chęci. Wszyscy gardzą wszakże tym rodzajem harmonii, bo ona, mówią, narzucona, nieautentyczna, podrobiona, skoro z taśmy, a nie ze spontaniczności Ten duch coraz światlejszy, bo oświecają go chyłkiem skądciś wprowadzane ideały. To zegarynka, nie wolny wschód istnienia! Cóż, możemy wprowadzić programy przeciwbieżne. Jeden znieprawiający, drugi zaprawiający, by rozum samookreślał się w zwarciu i starciu, zaczem usłyszymy, że i to nie tale, bo choć są rozstaje, oba ich końce dano przedustawnie. Tyle w wyborach wolności i samostanowienia, ile w portkach, co je szelki ciągną w górę, a grawitacja powszechna dół. Z pism filozoficznych można wyjąć naukę, że duch ma przede wszystkim być wolny, czymże jest wolność? Bezmiernością szans, gdzie ich więcej niż w nieobliczalności, tam gdzie możliwe wszystko, bo nic z góry nie zaryglowane? Oczywiście można i to skonstruować. Wtedy,

zamiast cudnych spełnień, mamy ciągle brnięcia i błędzenia. Tak więc zadanie opiewa aa dojmującą sprzeczność. Wykonać mamy szeroką wąskość, syty głód, święty grzech, szczyt, którego nie można spaść, aczkolwiek nic nie wstrzymuje, jednym słowem, po to mamy obdarować stwarzanych wolnością, by z niej własnowolnie po kropelce korzystali. Jakkolwiek nikt dotąd nie obstalował u nas wszechświata, ośmielę się zauważyć, że mieliśmy w bród klientów bardzo wymagających, nadto przebiernych, sroższych w ocenie dla naszego produktu, niż dla wytworów przyrody. Toteż wisi w naszej pracowni apel do przybywających tej treści: „Szanowny kliencie! Zechciej, nim poczujesz psy wieszając na naszych wytworach, przyjrzeć się wykonawstwu natury! Spójrz na siebie i na podobne tobie istoty! Dlaczego nie wybrzydzasz się nad nimi, tak jak nad tym, coś u nas zamówił? U nich zwiesz zaraz każdy defekt skutkiem kuszenia, przypadku, temu, co w nich pomyłone, zaraz skłonnyś dać awans na wyrok niebios, na tragiczność, czyli na tajemnicę, może i haniebną, lecz otchłanną, wiec jakoś mimo wszystko wspaniała. To, co jest, szanujesz po trosze, nawet gdy diabła warte, a to, co my oferujemy, nie zasługuje na najmniejsze uszanowanie, bo nie wychyńło z niewiadomej otchłani, lecz z naszego suwaka i ekierki!

— Et tam! Opowiadasz! — obruszył się nie cierpliwie król. — Tez mi diatryba! Wybacz, mój panie, ale wezwałem konstruktorów, a nie samo obrońców! Pokażcie mi te wasze neoistoty! Dawajcie je sam, to pogadamy rzeczowo!

— Nie działamy na pustym miejscu — cierpliwie rzekł Klapaucjusz. — Ten kto czeka, a podług samozlepień cząsteczkowych wynurzy się z chaosu świadoma egzystencja, nic nie ryzykuje ale nie ma też żadnej zasługi. Byli konstruktorzy, co, mając na oku solidaryzm, budowali istoty na pół wspólne. Takie, co spółdzielczo dysponują ciałami. Pozostał po tym ślad w baśniach które bają o smokach wielogłowych. Mniejsza o smoczność. Wielogłowcy biorą się za łby niema od razu. Myrmeksandar Dekstrydyta, aby zapobiec konfliktom, uwspólnił częściowo umysły stwarzanych przez siebie istot. Połączył głębiny ich życia duchowego i na tak zespolonym podłożu wyhodował indywidualne świadomości. Łączność była zdalna, wiec niewidzialna, toteż na oko były to osoby w pełni od siebie odrębne. Ponieważ jaźń żywi się własną głębią, a tę mieli jedną, godzili się jak z płatka. Znakomicie im się wiodło! Ledwie jednak doszli owej łączności (a w końcu musieli ją odkryć, zajmąwszy się nauką, obróciła się zyskana wiedza w zbiorowe nieszczęścia. Pojęli mianowicie, że o władnąć pod świadomością byle kogo, a choćby ostatniego ciury, to tyle, co opanować wszystkich za jednym zamachem. Komu na tym zależało? Ha! Łatwiej rzec, komu na tym NIE ZALEŻAŁO! Jest to wypadek szczególny, ale z problemu ogólnego. Czy była zespólnia dusz, czy nie, penetracja ducha zawsze przechodzi w manipulację, podejmowaną z najzacniejszymi

intencjami. Lecz WKMość, który dziecięciem już grałeś na cybernecikach i bawiłeś się w małego mózgow u czego, musisz wiedzieć, jak łatwo zmieniać automat w gwałtomat lub wręcz samogwałtomat, co robią silniki umysłowe, gdy zyskują samowiedzę, jak się rzucają wtedy na własnego ducha w maszynie, żeby go podbechtywać, podłechtywać i przekabacać coraz fikuśniej dębokrętami cerebellistyki myśliciesielskiej, co zawsze kończy się albo rozpryskiem jaźni, albo jej krótkim zwarcieniem wsobnym. W samej rzeczy, po co rozkopywać gwiazdy, narażając się na oparzenia trzeciego stopnia, po co ruszać na drugi koniec świata, po co kiwać jednym palcem, gdy mały drucik wetknięty, gdzie trzeba, wszystko urokliwie załatwi? Zaprawdę, historia cerebellistyki, której debry pochłonęły po galaktykach n rozumnych, świetnie zapowiadających się ras, powinna zostać spisana ku powszechnej przestrodze! Ten cały przemysł uszczęśliwiarski, chutniczy, te wzmacniacze chuci, czyli chutory...

— Nie, to już nie do wytrzymanie! Co pleciesz? Po co to? Król sam to wie! Nic od rzeczy! — jął wołać w tym miejscu Trurl.

— Do czego zmierzam? Król wie to sam? A jednak kwestionuje zachowawczość naszych projektów! Wyjaśniam więc, że nie należy popaść w ten błąd, którego dopuściłeś się swoją inżynierią szczęściopędną...

— Milcz! Jak śmiesz kalumniować mnie przed tronem! Ja ci zaraz...

Widząc, jak nienawistnym wzrokiem mierzą się wypróbowani przyjaciele, król wystąpił jako mediator, co zlikwidowało w zarodku waśni i położyło zarazem kres oracji Klapaucjusza.

— Nie padajcie duchem! — rzekł im życzliwie. — Wiedziałem, że obieram sobie najtrudniejsze z zadań, toteż nie byle komu je powierzyłem! Idźcie już, idźcie, moi kochani, naradźcie się bez awantur i wracajcie do mnie, gdy będziecie mieli lepszy świat do zademonstrowania!

Poszli więc, kłócąc się po drodze i skacząc sobie do oczu z wymachiwaniem rąk, ku zdziwieniu dworaków. Przeszli przez królewską oranżerię, przez ogrody pałacowe, przez pięć mostów na pięciu kanałach miejskich i ani tego spostrzegli!

Nie w tym sedno — mówił Trurl — by sporządzić świat zapięty na ostatni guzik, świat oczyszczony z klęsk, w którym nikt nie może nikomu ani wyrwać niczego, ani wsadzić. To przyczynkarstwo, lakierowanie bożego dzieła, nie w tym rzecz, by je pucować na wysoki połysk, lecz w tym, by przewyższyć autora w wyjściowej koncepcji!

— Daruj sobie te popisy. Nie stoisz przed królem — kurtyzował go Klapaucjusz.

— Przestań. Składowe doskonałości maj w boskim wariancie to do siebie, że nie są

współ wykonalne wewnątrz jednej egzystencji. Jeśli o czymś marzę albo za czymś tęsknię, to tego nie mam, a gdy już mam, to ani nie tęsknię, ani nie marzę. Nie mogę upajać się nadzieją, gdy spełniona, a przecież nadzieja jest inną słodyczą niż uciecha posiadania! Tak więc byt niewoli do ciągłych rezygnacji. Jeśli czekam lubego uścisku, to widać nikt mnie nie ściska, a kiedy ciska, to nie mam się już czego spodziewać lubo rozigraną imaginacją. Nie mogę ściskać i nie ściskać, mieć i nie mieć, co mi pewne, to mi liche, a co bezcenne trwale, to nieosiągalne. Tak więc byt huśta się między nadmierną pewnością a zbytnim ryzykiem, czyli między nudą a strachem. Od niedosytu do przesyty jeden krok, Mało tego! To, co jako pomyślane jest zawsze własne, już nazbyt przez to wiotkie, podległe i bezoporne, a to, co materialne, prawdziwie bezwzględne, jest niepodległe do uragliwości. Duch nazbyt, materia nie dość ode mnie zależy!

Pleciesz — krzywił się Klapaucjusz, lecz Trurl nie dał się zbić z pantalyku.

Przekładając te fatalności Stworzenia na język praktyki budowlanej, widzimy trzy restrykcje swobód w bycie: materialne, czasowe i przestrzenne. Albo coś jest rzeczą, albo los jest myślą: oto pierwsze zniewolenie. Niewola druga równa się umiejscowieniu: kiedy coś znajduje się gdzieś, to już nie może tam się znaleźć nic innego. Niewola trzecia, to gwałt, jaki nam zagaję czas, bośmy w nim uwięzieni: gdy nas środa wypuści, to czwartek złapie, po czwartku przytrzyma piątek, wieczny dryl, istne koszary, bezwzględna musztra, równaj krok, ani w przód, ani w tył — czy ktoś spostrzegł już tak, jak j tę wojskową dyktaturę czasu? O włos nie wolno się wychylić z terażniejszości! Uważam, że winniśmy zlikwidować wszystkie te ograniczenia. Co ty na to?

— Chcesz zlikwidować czas, przestrzeń i materię?

— Tak właśnie!

Klapaucjusz wahał się jeszcze, lecz urzekł g radykalizm Trurlowej idei, więc rozejrzał się, a widząc, że znajdują się wśród dzieci przy piaskownicy, bo tam ich nogi zanosły, jął kreślić palcem w piasku pierwsze obwody nowego świata, a Trurl wciąż doskakiwał do jego schemat dzieci jeszcze bardziej przeszkadzały, wstali wie i spiesznie poszli do pracowni. Minął tydzień[potem drugi, trzeci, a nie dawali znaku życia. Zniecierpliwiony Hipolip posłał umyślnego na spytki, potem samego ministra przemysłu umysłowego, a gdy i ministra nie puścili przez próg, udał się osobiście do konstruktorów. Zastał ich dość wzburzonych w hali zagraconej wprost nieprawdopodobnie, między stertami aparatów, po ustawianych byle jak, w płątaniu przewodów a gdy nie okazali skwapliwości w składaniu wyjaśnień, zasiadł na nich po monarszemu i postawił na swoim — wprowadzili go w swoje arkana!

— To, co jest, odrzuciliśmy w całości! — tłumaczył mu Trurl. — Cokolwiek by rzec,

świat został narzucony Stworzonym bez wszelkiej z nami konsultacji, ponieważ Stwórca postanowił ich tym światem raz na zawsze, do samego końca uszczęśliwić. A co, jeśli Oni nie życzą sobie być uszczęśliwieni jego metodą, tylko całkiem inną, albo w ogóle pragną zrezygnować z finalnego szczęścia? A może w jednym mgnieniu chcą, a w innym nie chcą? A może ten jest w owej kwestii jednego zdania, a ów drugiego? Go wtedy? Apodyktycznie narzucać konformizm? Wyznaczać drogi do raju i do piekła pod strychulec? Karać krnąbrnych Oryginałów i nagradzać oportunistów? Postąpiliśmy zupełnie inaczej. Najpierw wyrzuciliśmy z Uniwersum materię, przestrzeń i czas!

— Nie może być! — król był zafrapowany, — Dlaczego? I coście dali w zamian?

— Dlaczego? — trząśł głową Trurl. — Dlatego, że duch chce, ale nie może, a materia może, lecz nie chce. Najjaśniejszy pan jest tym zaskoczony? Ale to się przecież rzuca w oczy. Czyż można sobie w ogóle wystawić coś bardziej jeszcze trwonicielskiego od kosmosu? Miliardy miliardów ogni, gorejących i popielających się przez wieczność... i co z tego? Co to daje? Czemu to służy? Bogu? Ale przecież światłość wiekuista nie mierzy się lumenami i jaśnieje całkiem gdzieś indziej! Nam? Taka to i służba. Materia wiele może, zapewne, gdyby nie mogła, to i mas by nie było, lecz z jakiego marnotrawstwa surowców, wulkanicznego razbałwanienia, po ilu błędnych, jakże pokrętnych mozolach epileptycznych, rodzi wreszcie szczyptę sensu! Po co taki rozmach? Dla efektu dramatycznego? Ale Stworzenie to nie przedstawienie. A z kolei duch, ugrzęzły w materii, zakuty w nią, tragikomiczny skazaniec! Rwie się z ciała, a tymczasem ciało jego rwie, jemu narywa, aż się rozkurczy lub rozcieknie. Pod względem etycznym to niegodne, a pod estetycznym odstręczające. Tak więc wyrzuciliśmy materię — idiotkę i ducha — więźnia, decydując się na wyśrodkowanie między ich skrajnościami. Naszym tworzywem jest amateria. Nomen omen! Amo, amas, amat, nieprawdaż, ars amandi, nie tam żadna prana, tao, nirwana, błogostan kisielkowaty, bo to bierne nieróbstwo i samolubstwo, lecz czułość w stanie czystym, świat jako rzewna atrakcja molekuł, już w powiciu gospodarnie skrętnych! Elektrony, protony, owszem, kręcą się wokół siebie, lecz nie dlatego, że siły, kwanty, pola, ale dlatego, że się lubią! Zrozumiałe więc, co dyktuje postęпки amaterialnej istocie: nie fizyka, lecz sympatia. Zamiast trzech praw Newtona, przyciąganie nowego typu: czułość, dbałość, miłość. Zamiast zasady zachowania impulsu, zasada dochowania wierności, a co do teoria relatywistycznej, uczucia też są względne, lecz u mis obserwatora zastępuje kochanek, a podstawowy takt to takt. A ponieważ zrezygnowaliśmy z obskurnych ciał, nie ma więcej fizyki w erotyce, żadnego tarcia, parcia, smarowania, ściskania, toteż siłą rzeczy mdłość musi być w naszym Uniwersum zawsze idealna.

— No, a czas? a przestrzeń? — dopytywał się zafascynowany król.

— Czasowi nadaliśmy pokorę i elastyczność, żeby się słuchał tych, którym na nim zależy. Elastyczność ta przedstawia się jako tak zwany zęz. Zamiast koszarowego trwania, zamiast parady godzin, minut, sekund, w nieubłaganym regulaminie kalendarzowym pod werbel zegarów, każdy może sobie zęzić tak niemiarowo, jak mu się spodoba. Komu spieszno, ten wżęzi się ze środy prosto w sobotę, a komu czwartek miły, będzie czwartkował do syta. A przestrzeń usunęliśmy całkowicie, bo jej wymierna kategoryczność tai w sobie silne zagrożenia dla bytujących!

— O? Jakoś nie zauważyłem.

— Jakże? Najpierw jest w niej miejsce tylko dla jednej rzeczy, a gdy pchają się tam inne, dochodzi do nieszczęść. Gdy na przykład kula ołowiana pcha się tarmn, gdzie już ktoś jest, albo gdy dwa pojazdy usiłują zająć to samo miejsce. A olbrzymie odległości do pokonywania? A ścisk demograficzny, informatyczny oraz pornograficzny? Duch jest bezprzestrzenny, do poniżenia doprowadza go rozciągłość ciał, nakłaniająca do chwytania, obejmowania, turlania, przy czym z góry i tak wiadomo, że prędzej czy później trzeba puścić!

— No dobrze. I jakżeście temu zaradzili?

— Przestronność zastąpiliśmy upchałością, dzięki której każdy może być wszędzie naraz, również, a nawet zwłaszcza tam, gdzie są już inni. Co do istot zaś — a właściwie istoty — tośmy stworzyli zrazu tylko jedną, wzięwszy sobie za dewizę indywidualizm bez egocentryzmu, Liberalizm bez anarchii oraz ideałem bez przesady. Indywidualizm, a więc jaźń, a nie jakaś tam zespólnia wciamkana w ogólnikową świadomość nie wiedzieć czyją. Konkretna istota, lecz nie sobek zagwoźdzony własną osobnością, a więc i nie ze wszystkim osoba. Raczej już wszechosoba, gdyż rozpościera się bezmiernie. Każdego jest wszędzie trochę — uważasz WKMość? Nie musi być wszędzie jednakowo, tu go mniej, a tam, gdzie mu coś ciekawe, zaraz będzie go więcej, powstają bowiem ogniska koncentracji, wywołanej zachcianką lub solennym postanowieniem. Inaczej mówiąc, skupienie duchowe pociąga za sobą fizyczne. Wszelako i największy geniusz pozostaje miejscami rzadki. Mimochodem załatwia to kwestię transportu, boż nie trzeba się nigdzie udawać. Jedynie myśli się sobie ceł i od tego tam się siebie zagęszcza oraz podciąga _aż do stanu nasycenia i satysfakcji.

— Jak rozumiem, macie ten świat już gotowy? To czemu zamykacie się i nie wpuszczacie moich posłów? Co? Znowu jakieś trudności obiektywne? Mówcie wreszcie, bo się zgniewam!

Spojrzał Trurl na Klapaucjusza, Klapaucjusz na Trurla i nic. Widząc, że żadnemu nie pilno, wskazał Hipolip palcem Klapaucjusza:

— Ty mów!

— Panie, są pewne szkopyły...

— Jakie? No! Cóż, słowo po słowie mam z waści wyciągać?

— Szkopyły niespodziewane... stworzenie, owszem, udało się, i możemy je pokazać nawet zaraz, lecz im dalej, tym mniej wiadomo, co i jak...

— Nie rozumiem. Coś się psuje?

— W tym sęk, że nie wiemy, czy się psuje, i nie wiemy też, jak by się można dowiedzieć, królu panie. Zresztą... łatwo się o tym przekonać. Trurlu, włącz przekaźnik...

Trurl pochylił się nad największym aparatem, ustawionym na dwóch kulawych ciołkach coś tam nacisnął i na białą ścianę padł snop światła. Ujrzał król tęczową gąsienicę na wygonie czy też pawie jaja sadzone na zorzy, lecz dość prędko zorientował się, że jest to Krętlin Szczędry, ledwo wszczęty jaźniak wszechobecny, ani cielesny, ani duchowy, bo właśnie wypośrodkowany. Rósł jak na drożdżach, bo rozmyślał o sobie, a im więcej myślał, tym więcej go było. Gdy usiłował porządnie się skupić, od braku wprawy często się rozrzedzał, a ponieważ Natura nie znosi próżni, pustki te zaraz wypełniał w nim afekt. Naciągał cały oddaniem i czułością każdym zastanowieniem dźwigając zorzane widnokregi, bo to, co psychiczne, było tam prawie atmosferyczne. Doskwierały mu jednak błędne amory — zakochania fatamorganowe, gdyż jedne przyływy jego uczuć trafiały na wezbrać . innych, emablując je wskutek nieporozumienia i tak, wciąż tylko siebie w sobie spotykając, już się miejscami kochał na umór. Potem przeżywał ciężkie rozczarowania, kiedy stwierdzał, że to ciągle tylko on sam, a wszak nie był samolubem i nie siebie pragnął kochać, toteż wszystkie horyzonty zawlokło mu tęsknotą. Wciąż był sam i samotność ta ustaliła jego rodzajnik, został bowiem samcem, od czego nader burzliwie zmęźniał. A ponieważ wszystko się indukuje z przeciwnym znakiem, już zdecydowanie łaknął istoty–innoty rodzaju żeńskiego. Roił sobie upojne kochanki–zorzanki o nie oznaczonych, lecz pokąśliwych dziewokłębach, i chodziła w nim ta miłość do niewiadomych przepięknic jak żywiol — zwłaszcza tam, gdzie prawie już ustawał, Tak przynajmniej można było wyrozumieć sobie owe klimatyczno–psychiczne, umysłowo–burzowe zjawiska. Myśli jego stawały się coraz ciemniejsze, aż czarne, zsiadały się w obolałej psyche, niekiedy dochodząc rozmiaru kamieni filozoficznych, Gdyż tak wyglądały owoce beznadziejnych medytacji — niczym ich spetryfikowany osad na dnie duszy. Lecz jeśli tak, czemu uronił kilka co większych sztuk, cicho łypiąc zorzanym blaskiem na wygonie, a potem zafalował i przejaśnił się z wyraźną ulgą? Czyżby to był sposób pozbycia się balastu duchowego? Tak się z sobą borykał, tak wystawiał sobie innoty w różnyd fazach upojnej konsolidacji, tak nim rzucało od niezaspokojonych uczuć, aż naderwał się na

peryferii i wyłonił z siebie coś jakby cumulus, odtrącony wichrową ścianą od frontu burzowego Wyosobnienie to jakiś czas wlokło się za Krętlinem, aż wzięło się do samostanowienia. Wtedy pokazało się, że od impetu nie tę jedyną innotę wyłonił, o jakiej marzył, lecz ich półtrzecia: Zwoinę, więc Cewę albo Cewinnę, bezwzględnie żeńską, jako też podobne do dwojaka–rogała jej mężowie. Było ono zrazu jak „mrowie” rodzaju nijakiego, lecz żeńskość Cewinny wywołała w nim dwójmęża. Właściwie nie było ich dwóch ani jeden, lecz właśnie rozwidlenie: niby przejściowy — co już taki został, jako Marlin Przemyczka Ponsjusz lub Ponski, bo o byle co czerwieniał.

Odtąd wszystko się okrutnie pokiełbało. Krętlin sam bodaj nie wiedział, że jest sprawcą swej biedy, boż do dwójmężatki mierzył, a nie dostrzegał nawet, jak, gorejąc, targany atakami zazdrości, zwłaszcza w toku myślowej gonitwy za Cewinną, roni następne istoty, odpowiadające kalibrem i formatem gwałtowności uczuciowych przesileń. Tak ten świat zaludniał się stopniowo od jego miłosnej szarpaniny. Nikt tam nie wadził nikomu, tym bardziej że lekko i jakby frywolnie, mimochodem przepływano przez się nawzajem, zatrzymując „się najwyżej nad szczególnie ciekawym konceptem przenikanego, zresztą przelotnie, bo bez widomych skutków. A jednak coś im uwierało duszę, skoro mało kto nie ronił owych ciemnych jak galasy konkrementów — czarnych myśli zakrzepłych? — zbyt zimnej i zastygłej od tego refleksji?? — dość na tym, że wygony pokryła wnet istna morena, rumowisko światopoglądowe. To, co działo się nad nim, było trudne do pojęcia. Krętlin podczas przypadkowych jakby spotkań przesączał się przez Cewinnę wietrznice, mknąc jak hulaszczy wiatr, niby to jej nie zauważając, lecz był to pozór. Doznawał zawrotnych drzeń wyczuwając, że ona mu tu i ówdzie sprzyja, że nie jest jej miejscami całkowicie obojętny. Zaczynał wtedy słodko gęstnieć w jej obrębie, a ona udaremniała tę okluzję, dając mu zimny odpływ, biedakowi. Aż raz Krętlin uchodząc, gdzie myśli poniosą po takiej dyfuzji, co przeszła w konfuzję, uronił wysmużenie dość nikłe, które kręciło się jakiś czas, jakby w niezdecydowaniu, czy stać je w ogóle przy takiej] nikłości na personalizację. Jakoż innota owa nie urosła, a tylko wydłużyła się i zwinna jak fryga raz po raz wślizgiwała się w Krętlina — nie wiadomo, żeby judzić czy tylko ażeby pobyc chwilę w kimś znaczniejszym. A potem ów drabant urywał się i bywał mniejszością u Cewinny — maruder? gość nieproszony? — perfidny intruz? samotnik— osmotnik? — nie wiadomo. „W każdym razie bywał natrętem, molestował ją i jego, bo się otrząsali po takim nawiedzeniu. Marlina Przemyczki Ponsjusza za to unikał ów dziwny przewężeniec jak ognia. Tymczasem w zachowaniu Krętlina zaszła zmiana. Ni z tego, ni z owego tak wpuchł raz w dwójmęża, tak w nim wezbrał, jakby usiłował wysadzić go z jestestwa Lecz Marlin Przemyczka Ponski ani nie poczerwieniał. Mały zaś,

istny poronnik, chyba! to tu, to tam, nykał, zaharapcił kilka kamieni filozoficznych, ale rzucił je zaraz i pokrył się cętkami, podobnymi do oczu. Wypatrywał kogoś, czy jak? Wyglądało na to, że już mruga znacząco. Wszyscy jakoś nieruchawieli. Dlaczego nikt już nie wzbijał się duchem? Dlaczego łyskali? Czy były to załamania świetlne, czy duchowe? Nie wiadomo, do czego doszłoby dalej, bo w tym miejscu król Hipolip zaczął tupać nogami i trzeba było przerwać projekcję. Domagał się wyjaśnień.

— Niestety, panie, my również tego nie pojmujemy! — przyznał się od razu Trurl.

— To jest właśnie nasz główny kłopot! Nie wiemy, czy dzieje Cewy i Krętlina to niewinne baraszki, czy też czarna skaza naszej Genezis. Co gorsza, nie wiemy nawet, jak by się można dowiedzieć. Powtarzaliśmy kilkakrotnie kreację, zmieniając warunki wyjściowe, ale to nic nie dało. Czasem zamiast dwójmęża powstaje półtorak, raz znów Cewinna miała przemyczkę, ile są to banalne odchylenia statystyczne przy każdym stwarzaniu świata.

— A ten przewężeniec jak?

— Ten wij? Pojmuję, co WKMość raczy mieć na myśli. Pojawia się on zawsze, raz większy, raz mniejszy, czasem troszkę rozdwojony jak węzowy język, co zaraz budzi rozmaite podejrzenia, lecz król zechce zważyć, że w każdej produkcji występują odpady, a tam, gdzie wszystko nie tyle materialne, co idealne, śmieci też muszą być uduchowione. Więc od tej technicznej strony fenomen zdaje się niewinnym marginesem kreacji.

— Tak mówisz? Ale czemu taki natrętny? Czemu w nich lezie? Czy to nie mąciwoda?

— Biorąc na oko, tak to wygląda — przyznał Trurl. — Alboż my jednak wiemy, mąci czy nie mąci? Toż oni się wszyscy tam przenikają, a czy spacerowo, czy z kusicielską premedytacją, nie da się orzec, bo i jak unaocznic intencję? Jesteśmy w kropce, ponieważ wykroczyliśmy poza klasyczny wariant Genezy. Ów duchowy soliter wije się jak wąż, ale to, bo szczupły, więc chybki. Zgodnie z teologią diabeł nie może mieć nadwagi, ale biorąc racjonalnie, czyż zło koniecznie musi być chude? Korpulentne też mogłoby kusić. Nie powtórzyliśmy niczego i z nikogośmy; nie ściągali stwarzając... i oto skutek. Stworzyliśmy świat niepodobny do naszego, więc g nie pojmujemy.

— No wiecie! A Pan Bóg? Czy chcesz m, wmówić, że on kogoś naśladował? Skąd i jak, jeśli powszechnie wiadomo, że stwarzał z NICZEGO?

— Świat, miłościwy panie, ale nie .osadników. rajskich! „Na swój obraz i podobieństwo”. Tak jest powiedziane. Tak ich wymodelował. I nie przypadkiem! Podobieństwo Stworzonych do Stwórcy to warunek skutecznej kreacji! Im bardziej odmienny Stwarzany od Stwarzającego tym mniej będzie miał Stwórcę rozeznania w tym, kogo sprawił, co ów czuje, myśli, łaknie, zamierza i potrafi. WKMość sam tego doświadczyłeś przed

chwilą. Jeśli likwiduje się podobieństwo to niszczy się opokę porozumienia. Jeśli w niczym nie przypominamy naszych stworzonych, to nie możemy pojąć kto, jak, po co, ku czemu czyni — a przede wszystkim, dlaczego działa tak, a nie inaczej. Mowa też niczego nie wyjaśni, ponieważ zasadza się cała na podobieństwach a tych tu nie ma.

Jeśli nie mamy żadnych organów tożsamych ze stworzonym, jeśli jego cielesność w niczym nie odpowiada naszej, jeśli jego czas nie jest naszym czasem ani jego przestrzeń naszą przestrzenią, to się już nasze oba byty w niczym nie pokrywają ani nawet nie stykają. Możemy wtedy sporządzić świat najpotworniejszych męczarni, nie znanych nam zgoła i niedostępnych, wskutek ignorancja, i nie będziemy mieli najslabszego wyobrażenia, że tośmy właśnie zrobili. Istoty, zupełnie różne od ich Stwórcy, są dlań zupełnie nieprzenikliwe, niepojęte i niepojmowalne. Sądzę, że jest to naczelne prawo światostwórstwa, jego niepozbywalna antynomia. Albo się kreuje zrozumiałych i wtedy muszą być bogopodobni, albo stwarza się odmieńców, których losowi nawet współczuć nie można, gdyż pozostaje hermetyczną tajemnicą.

— Ważną! O! Fundamentalną rzecz powiedziałaś, Trurlu! — zerwał się na równe nogi Hipolip. — Tak! Teraz to uchwyciłem i widzę! Wszak osąd, że ten napuchlec tam doznawał błogości, bo tak kolorowo filował, jest jako dowód prawdy wart tyle sarno, co sąd, że ten, kto się ładnie pali na stosie, ma z tego przyjemność! Teraz to rozumiem! Ustawić dzieło stworzenia frontem do jego lokatorów to jedna rzecz, a pojmować, jak im się tam powodzi, co oni mają z tego bytowania, to druga! Panowie, wyrażam wam osobliwą wdzięczność za tę rewelację, bo utwierdziła mnie w wierze. Odtąd będę jeszcze mocniej wierzył w Boga niż dotychczas.

— Nie widzę związku — rzekł zaskoczony Trurl.

— Nie widzisz? A „credo quid absurdum est”? Nowa, głębsza treść błysła mi z tego orzeczenia... Nieskończony skończonych stworzył, najtrwalszy — samopsujów, wszechmogący — mogących tyle, co nic, wszechdobry, któremu tym samym najmniejszej fatygi nie sprawia zachowanie cnoty — chuciopędnych mizeraków... jakże więc nie mieli go silnie rozczarować swą konduita? „Na własny obraz i podobieństwo” kroi oczekiwania, niezdolny zminiaturyzować ich do skali stworzonego! Wieczny pożar spodziewał się po iskierce — własnego blasku! Stąd jego pozorna ekscentryczność, rzekome dziwactwa boże, wrażenie, że jest mantyką, zrzędą, cudakiem, pasjonatem, kwarulantem i pieniaczem, jeszcze po śmierci ciągnącym Stworzonych na rozprawy, na porachunki i kondemnatki po wszystkich wokandach doliny Józefata...

Ach, pojąłem teraz to, co tak uwierało Ojców Kościoła, Augustyna bodajże

najdotkliwiej, tę niedocieczoność urągającą, mało że zdrowemu rozsądkowi, ale i sercu — nie dali rady wyrozumieć, pochowali swoje osłupienie w dogmaty, z własnego rozumu porezygnowali, nie wiedząc, że to się przejawiała antynomia, tkwiąca w technice a nie — w etyce Kreacji! Tak, naturalnie. Teraz już bez wszelkiego wątpienia wierzę i współczuję — zakończył spokojnie król. Klapaucjusz nie słuchał go jednak wcale. Goś jakby przekuwał, uśmiechał się błędnie do myśli, które nawiedzały go niespodziewanie. Wstał ze świata, na którym siedział dotąd tak solennie, jakby miał ulecieć.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł uroczyście, silnym głosem. — Wpadłem na pewien koncept całkiem nowy. Żaden ze mnie samochwał, ale już muszę rzec: to jest pomysł, no cóż, trudno, najzupełniej genialny. Już wiem, co należy zrobić, aby stworzyć świat, dążący do doskonałości; taki, którego mieszkańcy odnajdą i utwierdzą po wsze czasy własne szczęście, mimo iż nie będą w niczym (ale to w niczym!) podobni do tego, kto ich stworzył.

— No? No???! — jednym głosem krzyknęli Trurl i Hipolip.

Tu jednak Klapaucjusz się zaciał. Oświadczył, że do czterech dni przygotuje nowy świat i okaże w eksperymencie jego niezawodność. Darmo nalegał monarcha i wściekał się Trurl. Z uśmiechem wyższego wtajemniczenia, z pobłażliwą obojętnością tego, kto zarobiwszy na wieczną sławę, za nic ma urągania zawistników, począł Klapaucjusz zbierać z podłogi instrumenty. Wtedy Torurl oświadczył, że umywa ręce od następnego aktu stworzenia, że się przeprowadzi i na własną rękę podejmie rzecz w innym kierunku. Monarcha umówił się z oboma w dworskiej sali audiencyjnej na najbliższą środę i na tym stanęło.

Obaj przybyli punktualnie — Trurl z pustymi rękami, Klapaucjusz, ciągnąc dwukólkę, trzeszcząc pod ciężarem aparatów. Zaraz też przystąpił do pokazu.

— Królu, udało mi się — rzekł. — Aby wszystko było jasne, muszę poprzedzić moją Genezis kilkoma słowami wstępnymi... Mój... ee... kolega Trurl sformułował antynomię kreacji w klasycznym wariacie następująco: im niepodobniejszy Stwórca, do Stworzonych, tym trudniej mu się wyznać w ich losie. Gdy w granicy podobieństwo dochodzi do zera, Stwórca nie wie już o jakości ach bytu swoich stworzeń nic. Stąd niepokonywalny jakoby dylemat: albo upodobniasz stworzonych do siebie, ale wtedy, im lepsze pojmowanie kreowanych, tym większe ograniczenie Kreatora, który zatracą swobodę czynu, albo im swobodniej będzie sobie poczynał tym bardziej będą mu się wymykali stworzeni w esencji i w egzystencji. Co do mnie, unicestwiłem ten dylemat, stwarzając nieklasycznie. Nie jeden świat stworzyłem, lecz ich potencjalną wielość. Nie uniwersum, lecz poliwersum powołałem do bytu w tej skrzyni. Nie wiem sam, jak się powodzi w niej teraz mym istotom, lecz nic im

moja niewiedza nie szkodzi, ponieważ umieściłem ich w bycie wielozwrotnym, który mogą wymieniać na zupełnie inne byty. Komu nie odpowiada aktualny jego świat, kto ma go powyżej uszu, komu los niemiły, ten bieży do zwrotnicy i od jednego pociągnięcia wprowadza całość na nowy tor istnieniowy. Tak więc każdy byt dany trwa na rozstaju, będąc stacją przesiadkową ku bezlikowi innych, łatwo dostępnych bytów. Ponieważ stworzeni moi przebiegają wśród bytów sami jak wśród ulegalek, ponieważ przymierzają je do siebie jak czapki, kierując się własnym, a nie moim upodobaniem, jest to świat poddawany wciąż w jakościach ostatecznych pod głosowanie jego mieszkańców. Jako Stwórca dałem im najwyższą wolność. Nie wybieram za nich, nie udzielam im żadnych zaleceń, instrukcji ani przykazań z krzaka lub innego miejsca, niczego im nie narzucam ani nie wzbraniam, jakoby wiedząc lepiej od nich samych, w czym ich szczęście, co ich wyniesie, a co pogrzyży. Mogą błędzić, ale żaden błąd nie będzie ostateczny, bo naprawić go może przerzucenie ontycznego biegu. Nie jest więc mój świat dydaktyczny, autorytarny, szkolny, sądowy — kategorycznie założony z góry raz na zawsze bez wszelkich konsultacji i dyskusji. Nie jest to świat—poprawczak z karami i nagrodami, które bym ustanowił, zachowując sobie prawo łaski na wyjątkowe okazje. Nie jest to byt—popręg, który ja jeden niekiedy mógłbym poluzować cudowną interwencją osobistą. Ponieważ ten świat będzie się wciąż przekształcał i mienił bytami dopóty, dopóki pozostanie w nim choć jedna istota niekontenta z tego, co jest, musi on wędrować zwrotnicami w różne strony, musi pograżać się w różnych losach, aż dotrze do takiego, który wszystkich w nim zadowoli. Wtedy dopiero nikt nie tknie przerzutki i zapanuje wieczysta harmonia. Tak więc świat mój nie startuje w raju, zęby poślizgnąć się w stronę piekieł ale, na odwrót, w szarpaninie się rodzi, a do raju zmierza. Nie mieszam się do spraw mego świata! To wszystko, panie.

— Aha! — rzekł Hipolip, który aż pojaśniał cały, słuchając przemowy Klapaucjusza. — O! A to mi! W samej rzeczy... Proszę! No, no... Zdaje mi się, mój panie światoczyńco, żeś utrafił w dziesiątkę! Powiadasz, że urządziłeś wybory, co? Pięcioprzymiotnikowe głosowanie demokratyczno—ontyczne: równe, powszechne, wolne, tajne, a jeszcze odwracalne... cóż, to mi doprawdy wygląda na egalitaryzm całkowity! I powiadasz, że nie możesz nic pojąć z ich tam motywów, postępów, co? Prawdę mówiąc, trochę szkoda...

— Otóż to! — podniósł Klapaucjusz palec oskarżającym gestem. — „Trochę szkoda”, nieprawdaż? Szkoda, że nie można wynosić się, wtrącać, mądrzyć, żądać, łajać, pieścić, egzekwować, rogów ucierać, polewać siarką... a także prawić sobie dusery ustami stworzonych. Zapewne to i owo można pojąć nawet i z takiego świata, jak ten mój wskrzyzny, lecz ta ewentualna wiedza do niczego nie zobowiązuje, pozostaje niejako

prywatnym mniemaniem, votum separatum Stwórcy na marginesie Genezy...

— No cóż, pokaż nam więc ten świat, pokaż, miły Hospodynie! — westchnął król i usadowił się wygodniej, gdy Klapaucjusz, przy Trudu milczącym nader posepnie, puścił snop światła na alabastrową ścianę.

Znów ujrzeli Krętliną–zorzanina, jego duchowe parcia i zawody, zakończone wydaniem na świat obojnaczego zespołu — Cewinna nic się nie zmieniła, mąż natomiast okazał się teraz Półtorakiem, jako że zostało dlań mniej niż poprzednio amateria i zaistniał jako odwołkowo przewężony Marlin Podponcki. A ponieważ byli to już widzieli, rzecz wydała im się dość nawet przystępna — miejscami jasna. Każdy był tam po trosze wszędzie, każdy, udzielając się innym na wrywki, partycypował do woli w bratnich i siostrzanych duszach, wizytując wewnętrznie bliźnich, z umiarem, idącym od napięcia powierzchniowego i dobrych manier. Może chcąc wykazać daremność (w porozumieniu) mowy artykułowanej, włączył Klapaucjusz nasłuch i ten świat dotąd niemy odezwał się wielogłosym gwarem. Zaraz dobiegły ich też odgłosy zęzienia. To mąż, Marlin, wyboczał sobie jaśniejszą chwilą w Cewinnie, brodząc w jej kontemplacjach. Potem coś się między nimi popsulo, Podponcjusz uszedł w dal, zachmurzony od tyłu, a Krętlin jął napierać. Cewinna nie przepuszczała go prawie, jak zaimpregnowania.

— Daj mi na jeden choć zęz! Zęznimy się! Wchmurzyny zrobimy! Sam się zachmurzaj! Proszę się we mnie nie mieszać! To moja kłakość! Osmotyczna moja, gęstnicza zorzanno! Wytrącimy Ponciaka w kła j ster! Pan się zapomina! — donosiło się niezrozumiale. — Co, wolisz półtoranta? Ja cię wmoję! wtroję! zemstrzę! — nie ze wszystkim było jasne, kto, o czym, w jakim sensie woła. Wśród moreny z hałd kamienia filozoficznego tu i ówdzie wystawały dość schludnie zadaszone przebytownie. Cewinna ściągnęła się przed wzburzonym Krętlinem do najbliższej, gdzie warował zwrotniczy, nieprzenikniony, bo zasnuty bielmem, istny mleczak. Doszło między nimi do wymiany myśli.

— Daj mi wpływ, daj odpust choć na jeden zęz, bo się zjuchcę! — czyżby domagała się pomocy od miecznika? — Szansuj mi zabyt... muszę! Na dręcarski wsącz! Odemnij się, bój się odbytu! Nie cuduj się, nie heleń się, no!

W tym pomieszeniu Cewinna dyfundowała już przez zwrotniczego do lewarów, a zarazem Krętlin, wychodząc z siebie, okrążał jej zsiadłości, wsiał się w nią, impetem zagarniając po drodze mleczaka i zaczął ją upchale zęzić:

— Światujmy się tutaj, tu!!!

A już Marlin rwał ku nim, puściła ligatura, mąż z wyosobnionym, przybocznym Podponckim wkroczyli w Krętliną od namyślnej, wydęli go, powstało wbiegowisko, Cewinna

wychynęła stamtąd rozburmuszona i zaczęła innieć. Co chwilę się przeistaczała: ewi się, madolizuje, złudmila, czy to jakaś choroba, czy rodzaj mimikry? Z strachu może, czy jak? Podług pewnej bliskiej względniczki naheleniła się, ale stała się raczej Helendą niż Heleną — może od zmieszania, czy z pośpiechu... Tymczasem nad przebytownią Marlin i Podponcjusz wadzili się z Krętlinem, istną kipiela kisielową, rozprawdając we wzajemnych turbulencjach zwrotniczego, który daremnie starał się ześrodkować, dżgany od podmyślnej.

— Pękaj, cudzołowcza dyfuzjo! — wszechnią jak jeden mąż.

— Sani pękaj! Wsiąkajcie w kitany dręt, a nie to ja was wsiąknę! — kochanek na to, co prawda niedoszły, ale był już prawie dochodził.

— Rozpuścicielu! Ty, wszędo jedna! W ontykę won!

Krętlin w okamgnieniu wymyślił się znad przebytowni i już był przy Cewinnie, napelnił całą choć w fazie Helendy. Kopnął się na to mąż w dwie strony naraz, jakby się chciał rozerwać, ku żonie i do zwrotnicy.

— Przebytuję, żeby Kręślacz wsiąkł! Czy Cewa niezmienniczy? Prędko mi szansuj, Bieliczul

Tamten, wyblakły, siąpi:

— Glancowany drastyk! Albo zerowsko, albo transfinałnie. Odradzam kompromis. To żaden zęz!

— Uwyrażniaj! Kto się wzerzy? Scibant?

— Hy? Może twoja ćwiertnia, a może Poncka.

A może obaj zbyjecie się. Ja nie prorok, ja szanser!”

— Szansa ci w zęz! Śćmiewaj! Przebytuję!

Dopadł Marlin zwrotnicy, Podponcki z nim razem, ciągną... Łysło, zanicowiało, ale w oczymgnieniu znów są — tyle, że nie wszyscy ani ci sami, bo już antologia inna. Poncjusza ni śladu, Krętlin już nie Krętlin, ale Gręślicz i to podkarolony, jakby go takim zaindukowała brzeźnie Cewinna, sama nie zmieniona — przynajmniej na pierwszy rzut oka. Przebytowatnie wywołało powszechną panikę. Kto żyw, dawał nura w byle kogo, czy żeby się schować, czy od płodowego refleksu — nie wiedzieć. Każdy chciał być jakby w samym środku. Cewinna też chciała. Ruszyła w postronną niejaśnicę, ale trafiła na tak akurat odeszła miejscem zainteresowań, że tu jej prawie nie było, toteż przejaśniła ją na wylot i chybla na morenę. Drżała jeszcze, a tu — co za stałość uczuć — Marlin pół na pół z Gręśliczem tu niej, zmieszała się, a oni z nią. Chciała piecz, otrząsnąć się, ujść z tego skotłowania, bo już nikt własnych myśli nie poznawał i jak swoje ciągnęli, co popadło, i cudze w zamieszaniu psychicznym, Cewinna zwiwała powłóczyście, a tamci z trudem rozsypłali się, pełni obcych

uczuciu, zmierzili się do zwrotnicy. Tym razem Marlin dał inny byt. Z chaotycznej wrzawy można było wnosić, że nikt teraz niczego nie pojmuje. Dymiło jak od stu pożarów bez ognia. Zdaje się, że każdy, wszędziejąc aktualnie jak po dawnemu, ponadto wypuszczał z siebie będziny, czyli nie dokonane jeszcze —intencje, projekty na przyszłość, tym obficiejszym wysmuczone, im rozpaczliwie usiłował się skupić. A może była to tylko postać eksternalizacji myśli — czy wreszcie doszło (tak potem mniemał Trurl) do panpsychicznego wyciszenia i rzekome dymy były umysłowym bebechami, wywróconymi na lewą stronę.

Patrz, a tu Gręślicz pryska na wsze strony, zamiast moreny światopoglądowej — jakiegoś tumbu, po sam horyzont wnioskuje z cicha pęk myślinność, świat w wersji jakby silnie uduchowionej, lecz i uoficjalnionej, bo wszędzie pełno ojczyźniaków i faszyn.

Mąż już nie mąż, lecz bącz, gdyż bączkuje ku Cewinnie z dość silną precesją. Siły Coriolisa Maupertuisa, centryfugalne, czy zawroty głowy — nie wiadomo. Na domiar wszystkiego znikły tu rodzaje. Nie wiedzieć tedy, co począć, bo znikł sens konfliktu. Seks to już przeszłość zapomniana, nie seks, lecz eks. Bącz nie zauważył tego na skutek bezwładności, właściwej silnym afektom, chciał się rzucić w głąb Niekarola Gręślickiego, hicząc „Ja cię zakłakoce, ja ci pokażę etruski byt!” — ale zamoczyło go, gdy zobaczył, że to już nie kochanek, lecz kochanka zniżyła Kręślicza ta antologia! Tu wszedł im w tyradę mleczak, gdyż wytchnął bącz, a sam huź do bytowni i daje całą w tył, żeby przywrócić jakąś poprzedniość, lecz albo trafił w zły zęz abo omsknął mu się chwyt na ontojeści Stętkły wszystkie koordynaty, kontinuum okropnie jętkło, jakby macierz ronila, posypał się grad kamieni filozoficznych i łyknął nowy świat — ale jaki!!

Z męża-bączka — rozjazda, wyraźnie żeńska, jakby trochę tego rodzaju żeńskiego zostało jeszcze na samym dnie, zwrotniczy w opałach, marny jego los, bo się puścił powojem w wyścielnik bytowni, i zakwitł na ontojeści kwiatem tęczowym — niby w moc świętojańską! — a gdzież Cewinna? Jakieś przesadnie wylupiate rozbałuszenia, balonety-montgolfiery, ondulowana wielobaniastość ze wstążeczkami, wpapilocona w tło niebios, byłaby to ona?... Rozjazda z bączka wścibia się w sąsiednik, gdzie pielgrzyb z niedodmą rajcuje na jednej nodze, a ze stu stron naraz drzące z wysiłku prawiczki sięgają po ontojeść...

Król od dobrej chwili wołał już, żeby zatrzymać, żeby natychmiast przestać. Klapaucjusz usłuchał go niechętnie, wyłączył aparaturę mruczając, że można było przeczekać jeszcze parę przebytowań, że to się w końcu musi wydestylować, wyklarować, oni tak z niedoświadczenia, od nienawyku, wskutek pochopności, lecz nikt go nie słuchał. Król wetknął berło do kieszeni, rękawem czyścił jabłko, a Trurl, opuściwszy się na czworaki, obchodził z trzech stron skrzynię światową, ma u/a c to jedno, to drugie oko zaglądał do

środką p zez szpary, pukał w denko, potem wstał zdecydowanym ruchem i rzekł otrzepując kolana:

— No, tak. Wydostawszy się z klasycznej antynomii, szanowny kolega wlaź w nieklasyczną. Pięcioprzymiotnikowe wybory ontologii, co? Śmieszne rzeczy! Oni w tej skrzyni niczego sobie nie wybierają, a tylko rzucają się na oślep jak ryby na patelni, biedacy. Wynalazek niewątpliwie jest: padaczka wielobytowa, grand mai czyli ontolepsja progressiva, nowy rodzaj mąk egzystencjalnych, no bo cóż oni tam robią? Od cholery uciekają do dżumy, od dżumy w trąd, czy można atoli powiedzieć, że kto od jednej zarazy umyka w drugą, stopniowo zbliża się do ideału?

Tu zaczął Klapaucjusz krzyżeć, a nawet, zapomniawszy o monarszej obecności, tupać na Trurla, który usiadł na jego świecie i bimbając nogami uśmiechał się prowokacyjnie. Doszłoby może do karczemnych scen, gdyby się Hipolip nie wmieszał, przypominając, że to bądź co bądź stwarzanie świata. Ochłonawszy nieco, zaczął Klapaucjusz szybko i uczenie tłumaczyć, czemu zbiór alternatyw bytowych musi być dla stworzonych nieprzejrzysty: byty nie buty, żeby je przymierzać z preselekcją. Ryzyko tkwi w każdym przejściu, lecz to nieuchronne — jako koszty własne postępu. W jego, Klapaucjusza, Wariancie koszty te są mniejsze niż w klasycznym — gotował się dowieść tego rachunkami. Preselekcja to fikcja, bo kto wykracza z jednej ontyki w inną, ten nie tylko otoczenie zmienia, lecz i samego siebie — a skutków metamorfozy nie da się przewidzieć! Ryzyka nie unikać, próby wymaga i ą czasu — cóż to jest, tych paręnaście minut obserwacji, wobec niezbędnych eonów? Idealny stan może nastąpić za godzinę lub za dwieście lat — to prawda, lecz innej drogi nie ma. I prawil tak, używając coraz dłuższych terminów, powołując się na topologię ducha i na geometrię wjaźnień oraz rozjaźnień, wykładając elementy ontografii endjoskopicznej, klimatyzacji życia emocjonalnego, a w szczególności jego zalodzeń, wyżów, opadów oraz upadków duchowych i gadał tak, aż mu w gardle zaskrzypiało, a króla rozboleła głowa. Truarl wstał wtedy ze świata, na którym siedział, i wyjąwszy zza pazuchy niewielki karteluszek, rzekł:

— I ja nie próżnowałem przez te dni ostatnie, pandę. Czy mogę przedłożyć ci wynik mej pracy?

— Czekajże — powiedział król. — Jeden z moich doradców to mi wczoraj wyjawil: gdyby świat wyszedł nam lepiej aniżeli Panu Bogu, znaczyłoby to, iż On właśnie jest górą, bożby się okazało, że udzielił nam, swym stworzeniom, nieograniczonej plenipotencji kreacyjnej. Gdyby się natomiast NIE UDAŁO, znaczyłoby to, że nam tej plenipotencji nie dał, bo nie chciał. Ergo: jeśli wygramy, to wtedy właśnie przegramy, a gdy przegramy, to właśnie wtedy wygramy! Wygrać możemy bowiem tylko na boże, nie na własne konto.

Natomiast przegrywając, objawimy niemoc, którą On nam przydał i tę niemoc w Niego zwrócimy zaraz oskarżająco, żeśmy ofiary dyskryminacji w światoczyństwie! Cóż powiecie md na to?

— Et tam, sofizmat — pchał Trurl swój papier pod nos królowi, przy czym zapomniał się do tego stopnia, że chcąc czym prędzej Klapaucjusza do reszty pograć w oazach monarchy, ciągnął go za obszyty gronostajem rękaw. — Tutaj patrz WKMość! To przeprowadzony przeze mnie, sformalizowany, więc ostateczny dowód NIEMOŻLIWOŚCI stworzenia świata!!

— Hę?? — zdumiał się monarcha. — Dobrzeż słyszę? Udowodniłeś, że nie można??...

— Tak, panie. Bez wszelkich naciagań. Szkoda trudu! Oto mój dowód na to!!

Król wytrzeszczył oczy.

— Jakże... przecież — — a to... to wszystko...? — rozwiódł rękami. — Wszak świat istnieje...

— Eee — wzruszył ramionami Trurl. — Taki to i świat... mnie szło o doskonały...

Czerwiec 1975

GODZINA PRZYJĘĆ PROFESORA TARANTOGA

SŁUCHOWISKO RADIOWE

OSOBY:

Profesor Tarrantoga, Magister Sianko, wynalazca perpetuum mobile, zakrywca wynalazków inżynier ZUMPF, wynalazca Anteru, dwaj panowie antycypatyści

(Gabinet profesora Tarantogi. Profesor puszcza pozytywkę i usiłuje dość fałszywie zaśpiewać grany przez nią motyw. Potem nakręca inną pozytywkę. Pukanie do drzwi).

TARANTOGA: To pan, Sianko? Proszę.

SIANKO: Panie profesorze, już czas. Poczekalnia pełna.

TARANTOGA: Dużo dziś, mówi pan?.

SIANKO: Sześć osób.

TARANTOGA: Ten pomyleniec z brodą jest?

SIANKO: Jest. Przyszedł dobrą godzinę temu. Siedział na schodach.

TARANTOGA: Niech mu pan powie, że nie mam dziś dla niego czasu.

SIANKO: To na niego nie działa. Pan profesor przecież wie.

TARANTOGA: To proszę go wyrzucić.

SIANKO: On jest silniejszy, panie profesorze.

TARANTOGA: Proszę ma powiedzieć, że go nie przyjmę. Żeby sobie poszedł.

SIANKO: Mówiłem już. Nie chce.

TARANTOGA: Nie chce?

SIANKO: Nie chce. Przyniósł model.

TARANTOGA: Nie może być?

SIANKO: Przyniósł, panie profesorze. Ma go ze sobą.

[TARANTOGA: I co, obraca się? Przecież to niemożliwe. To musi być oszustwo. Sam pan widział?

SIANKO: Jak się obraca — nie. Jest zapakowany.

TARANTOGA: A, to tak? No dobrze, niech wejdzie.

(Wchodzi brodac z pakunkiem).

BRODACZ: Pan mi nie wierzył, pandę profesorze, nie wierzył pan, a ja przyniosłem. Proszę bardzo! (*Szelest rozwijanego papieru*).

TARANTOGA: Dlaczego pan się nie ostrzygł?

BRODACZ (*rozwijając pakunek*): Nie miałem za co.

TARANTOGA: Dałem panu ma fryzjera.

BRODACZ: Musiałem dokupić części... śrubek mi brakowało. Proszę! (*Stawia na stole perpetuum mobile*).

TARANTOGA: To ma być perpetuum mobile?

BRODACZ: Nie „ma być”, ale jest! Zaraz pan zobaczy! Prawdziwa maszyna wiecznego ruchu! Jutro idę opatentować!

TARANTOGA (*spokojnie*): To się nie obraca.

BRODACZ: A ja panu mówię, że to się obraca. Zaraz będzie się kręciło, tylko korbkę muszę znaleźć... to klucze, to bilet miesięczny, to zapasowe koło, gdzież ona się podziała?

TARANTOGA: Przecież widzę, że stoi. Ani drgnie.

BRODACZ: Owszem, stoi. Nigdzie nie jest powiedziane, że perpetuum mobile ma samo startować. Potrzebny jest pierwszy impuls.

TARANTOGA: Więc proszę uruchomić, ale szybko. Nie mam czasu. Już dość mi pan go zabrał, nachodząc całymi tygodniami...

BRODACZ: Gdzie Korbka? Przysięgłbym, że tu ją włożyłem, a! jest. Uwaga! Epokowy moment! Proszę patrzeć!

(*Słychać, jak zazębiają się tryby, coś zaczyna się obracać coraz szybciej*).

BRODACZ (*triumfalnie*): Widzi pan?!

TARANTOGA: Widzę, że pan kręci. I co z tego. Proszę przestać!

BRODACZ: Zaraz przestanę, niech się trochę rozpędzi!

TARANTOGA: Ależ niech pan przestanie! Perpetuum mobile musi się samo poruszać!

BRODACZ (*kręcąc*): Wiem o tym. Pracuję nad tą maszyną ósmy rok!

TARANTOGA: Panie Fryk, sto, nie, tysiąc razy mówiłem panu, że perpetuum mobile jest niemożliwe! Nie można czerpać energii z niczego! Nie dopuszczają tego prawa natury! Pański tak zwany wynalazek nie jest wart funta kłaków — przestań pan kręcić, kiedy mówię do pana!

BRODACZ: Nie mogę. (*Kręci*).

TARANTOGA: Dlaczego?

BRODACZ: Nie mogę ryzykować! Od tej demonstracji zależy zbyt wiele. Pan powiedział sam, że jeżeli będzie się obracało, to odda mi pan cały swój majątek. Niech się teraz coś

zatnie, popsuje, to co ja zrobię?

TARANTOGA: Długo ma pan zamiar wygłupiać się w ten sposób?

BRODACZ (*kręcąc*): Ja się nie wygłupiam. To epokowa chwila. Niech pan tylko patrzy, jak wspaniale się kręci! Prawdziwe perpetuum mobile!

TARANTOGA: Przecież to się nie kręci samo! To pan kręci!

BRODACZ: Ja tylko tak, na wszelki wypadek. Proszę nie zwracać uwagi! Samo też by się kręciło. Słowo honoru daję!

TARANTOGA (*groźnie*): Nie przestanie pan...?!

BRODACZ (*kręcąc*): Profesorze, bądź pan człowiekiem... potrzebuję trzystu złotych...

TARANTOGA: Co, znowu?

BRODACZ (*kręcąc*): Muszę zapłacić za elektryczność, bo mi wyłączą. Poza tym, ja nie jestem perpetuum mobile. Muszę coś jeść, żeby się poruszać.

TARANTOGA: Nie dam się dłużej nabierać. To bezczelność!

BRODACZ: Ależ, czy pan nie wierzy własnym oczom? Co jest poważniejszego od świadectwa zmysłów?

TARANTOGA: Przecież to pan kręci!

BRODACZ: To nie jest istotne.

TARANTOGA: Nie przestanie pan?

BRODACZ: Ryzyko jest zbyt wielkie. Nie mogę. Ale w domu kręciło się samo. Przysięgam panu! Musi mi pan uwierzyć! Proszę tylko posłuchać, jak wspaniale furczy!

TARANTOGA: Wynoś się pan, oszuście!

BRODACZ: Dlaczego „oszuście”? Pan jest zły, bo udowodniłem, że perpetuum mobile jest możliwe.

TARANTOGA: Nie jest!

BRODACZ: A to co?

TARANTOGA: Łajdak z pana. Czego pan chce ode mnie?

BRODACZ (*kręcąc*): Mówiłem już, potrzebuję trzystu złotych...

TARANTOGA: Dam panu sto pod warunkiem, że nie będę pana więcej widział.

BRODACZ: To jest warte miliony, a pan :żałuje głupich trzystu złotych? Dopuszczę pana do udziału w zyskach na dwadzieścia procent.

TARANTOGA: Wynoś się pan!

BRODACZ (*kręcąc*): Czterdzieści procent: Więcej nie mogę. Niech pan mnie tak nie żałuje.

TARANTOGA: Tu jest dwieście złotych.

BRODACZ: Nie mam wolnej raki, proszę, niech mi pan włoży do kieszeni... dziękuję!

Jeszcze dziś zacznę budować model dwukrotnie większy! Zobaczy pan! (*Wychodzi*).

SIANKO (*wchodząc*): I co, panie profesorze, kręciło się?

TARANTOGA: Tak. Jeszcze mi się kręci — w głowie. Jak się pokaże następnym razem, proszę od razu dzwonić na komisariat.

SIANKO: Zawsze pan tak mówi. Czy następny, może wejść?

TARANTOGA: Zaraz — niech odsapnę. Kto jest następny?

SIANKO: Jakiś nowy. Nigdy go nie widziałem.

TARANTOGA: Przyniósł ze sobą coś?

SIANKO: Nie.

TARANTOGA: Niech wejdzie.

ZAKRYWCA: Dzień dobry...

TARANTOGA: Proszę siadać. Mogę panu poświęcić pięć minut. Słucham.

ZAKRYWCA: Ależ, panie profesorze, pięć minut to dla mnie za mało, chodzi o owoce mych wieloletnich przemyśleń i doświadczeń!

TARANTOGA: Już tylko cztery minuty i pięćdziesiąt sekund. Słucham.

ZAKRYWCA: Jaki pan bezwzględny! Dobrze, spróbuję, już mówię. Panie profesorze, ja nie jestem zwyczajnym wynalazcą.

TARANTOGA: Zwyczajnych nie ma. Czego pan, sobie życzy?

ZAKRYWCA: Nie jestem ani wynalazcą, ani odkrywcą. Jestem antyodkrywcą, czyli zakrywcą. Głęboka analiza całokształtu dziejów doprowadziła mnie do wniosku, że ludzkość nie potrzebuje już żadnych odkryć. Wprost przeciwnie — cierpi na ich nadmiar. Postanowiłem jej więc dopomóc.

TARANTOGA: W jaki sposób?

ZAKRYWCA: Przez zakrywanie odkryć szczególnie szkodliwych. Co jest zmorą naszego świata? Energia atomowa. Co należy zatem zrobić? Należy ją zakryć. Tak sobie postanowiłem...

TARANTOGA: W jaki sposób?

ZAKRYWCA: Moją własną metodą — przez rozkojarzanie małżeństw!

TARANTOGA: Jak? Nie rozumiem.

ZAKRYWCA: To proste. Każda myśl genialna jest prosta. Proszę, oto plan postępowania... (*szelest papieru*).

TARANTOGA: Co to jest? Pan się zajmuje heraldyką?

ZAKRYWCA: To jest drzewo genealogiczne Alberta Einsteina. Bo to Einstein zaczął przecież pierwszy z atomami. To on odkrył równowagę energii i materii. Należy więc nie

dopuszczyć do małżeństwa jego rodziców. Jak się nie pobiorą, to nie będą mieli dzieci, jak me będą mieli dzieci, to się Einstein nie urodzi, a jak się nie urodzi, to i bomby atomowej me będzie.

TARANTOGA: No wie pan! Przecież już się pobrali prawie sto lat temu i urodził się!

ZAKRYWCA: Nic nie szkodzi — od czego wehikuł czasu?

TARANTOGA: Wehikuł czasu?

ZAKRYWCA: Jasne. Trzeba się cofnąć w czasie, odszukać rodziców Einsteina przed ich małżeństwem i rozkojarzyć ich za pomocą odpowiednich intryg. Wymyśliłem sześć metod rozkojarzania. Przez plotki, przez granie na ambicja, przez jątrzenie rodzin, przez łapówki i przekupstwo, w ostateczności zaś przez porwanie panny młodej, a jak i to się nie uda, to trzeba się jeszcze raz cofnąć i rozkojarzyć małżeństwo tych rodziców, z których się urodzili rodzice Einsteina. Na którymś etapie musi się udać — mur—beton!

TARANTOGA: I maszynę czasu też pan wynalazł?

ZAKRYWCA: Nie. Trudno, żebym wszystko sam wynajdywał. Od maszyny będzie pan profesor. Ja ze swej strony daję Zakrent — a pan wehikuł czasu. Pół na pół.

TARANTOGA: Jaki znów „Zakrent”?

ZAKRYWCA: To jest skrót mego planu: Zakrycie Energii Atomowej...

TARANTOGA: Mój panie, nawet gdyby dało się zrobić to, co pan proponuje, nic by z tego nie wyszło. Jeśliby się Einstein nie urodził, to formułę odkryje ktoś inny.

ZAKRYWCA: Kto?

TARANTOGA: Nie wiem. Ale jakiś uczony na pewno by to zarobił.

ZAKRYWCA: To trzeba znaleźć jego rodziców i rozkojarzyć.

TARANTOGA: Mój drogi, nie może pan rozkojarzyć wszystkich małżeństw, bo wtedy i pan Sam przestałby istnieć. A jak długo będą się rodziły dzieci, tak długo będą z nich wyrastali uczeni i odkrywcy. Zresztą, pięć minut upłynęło. Pana pomysł nie interesuje mnie, Żgnam.

ZAKRYWCA: Nie interesuje? Ho, ho.

TARANTOGA: Co to znaczy?

ZAKRYWCA: To znaczy, że ja sobie teraz pójdę, a o j zostanie z moim epokowym pomysłem!

TARANTOGA: Ja? Z pana pomysłem? Ależ on nie jest mi do niczego potrzebny.

ZAKRYWCA: Ho, ho.

TARANTOGA: Przestań pan ze swoim „ho, ho”! Nie chciałem tego powiedzieć, ale skoro pan mnie zmusza, proszę. Pomysł pana jest idiotyczny.

ZAKRYWCA: Ho, ho! Tak się zawsze mówi, a potem robi się grube pieniądze...

TARANTOGA: Ależ to bezwstydną insynuacją! Czego pan właściwie chce?

ZAKRYWCA: Żeby pan mnie wziął do spółki...

TARANTOGA: Czy pan nie rozumie, co mówię? Pomysł pana uważam za kretyński i nie chcę o nim słyszeć.

ZAKRYWCA: Ale jak pójdę, to pan będzie dalej pamiętał...

TARANTOGA: Nie mogę przecież wymazać go sobie z głowy!

ZAKRYWCA: Wiem, że nie. Nie żądam tego.

TARANTOGA: A czego?

ZAKRYWCA: Ekwiwalentu.

TARANTOGA: Pieniądzy pan chce?

ZAKRYWCA (*spokojnie*): Jasne.

TARANTOGA: O, nie dam się naciągnąć. Proszę wyjść.

ZAKRYWCA: Ho, ho...,

TARANTOGA: Pandę!!!

ZAKRYWCA: Da mi pan tysiąc zet i rozstaniemy się w zgodzie.

TARANTOGA: Prędeż mi włosy na dłoni wyrosną!

ZAKRYWCA: Wobec tego pięćset i słowo honoru, że pan tego nie wykorzysta.

TARANTOGA: Mogę panu dać słowo honoru d pięćdziesiąt groszy na tramwaj.

ZAKRYWCA: Ho, ho!

TARANTOGA: Panie — zastanów się pan. Ten pomysł nie jest wart złamanego szelągu.

ZAKRYWCA: Też coś! A gdyby tak pójść do jakiegoś fabrykanta nylonu i powiedzieć mu: jeśli nie dopuści mnie pan do spółki, ja moim zakrywaczem uniemożliwię odkrycie nylonu i zostanie pan zrujnowany... Myśli pan, że się nie zgodzi?

TARANTOGA: Myślę, że w panu jest materiał nie tylko na odkrywcę...

ZAKRYWCA: Zakrywcę.

TARANTOGA: Niech będzie zakrywcę, ale na zwykłego szantażystę. Ja panu nic nie dam, mój panie. I co pan na to? Ho, ho!

ZAKRYWCA: Nic. Wciągnę pana na moją czarną listę.

TARANTOGA: Na jaką znowu listę?

ZAKRYWCA: Niech pan nie sądzi, że pan pierwszy wyłudził ode mnie mój cenny pomysł. Wszystkich, którzy odmawiają mi ekwiwalentu, wciągam na listę. Kiedy zrealizuję mój wynalazek, po kolei rozkojarzę małżeństwa rodziców tych wszystkich osób, które odprawiły mnie z kwitkiem, wskutek tego i pan także przestanie istnieć!

TARANTOGA: Wynoś się pan.

ZAKRYWCA: Jeszcze pan pożałuje (*wychodzi*).

TARANTOGA: Magistrze Sianko!

SIANKO: Słucham. Już chciałem wejść...

TARANTOGA: Uuu! Zgrzałem się! Kto jest następny?

SIANKO: Jakiś nowy, nigdy u nas nie był.

TARANTOGA: Z modelem?

SIANKO: Coś tam ma pod pachą.

TARANTOGA: Wariat?

SIANKO: Nie wiem, panie profesorze. Oczy to mu nawet dosyć błyszczą i takie jakieś ma skaczące...

TARANTOGA: Trudno: Niech wejdzie... (*Wchodzi inżynier Zumpf*).

ZUMPF: Pozwoli pan? Inżynier Zumpf.

TARANTOGA: Pan jest inżynierem? To brzmi rzeczowo! Proszę usiąść. Słucham.

ZUMPF: Czy wie pan, że największym pragnieniem ludzkości jest życie pozagrobowe? Kontynuacja istnienia po śmierci — w postaci ducha. Jednakże problem ten był dotąd kontrowersyjny. Manifestacje spirytystyczne kwestionowano.

TARANTOGA: Przepraszam — pan jest spirytystą? Jeżeli tak, to...

ZUMPF: Nie. Nie jestem spirytystą i nie wierzę w duchy, bo ich nie ma. Zbadałem rzecz dokładnie.

TARANTOGA: A więc? W, takim razie — o co chodzi?

ZUMPF: Powiem, jeśli nie będzie pan przerywał. Jak powiedziałem, duchów nie ma. Jednakowoż sprawa tym samym nie wygasa, ponieważ ludzie ich sobie życzą. Jest zapotrzebowanie rynkowe, a zatem należy opracować produkcję...

TARANTOGA: Przepraszam! Produkcję — czego?

ZUMPF: Duchów. Rzecz nie jest trudna, jak się zdawało. Najpierw ustaliłem metodą ankietową, jakie są życzenia i oczekiwania szerokiej publiczności. Na przykład, że duch powinien przenikać przez materialne zapory, jak mury, drzwi, ściany, dokonywać lewitacji przedmiotów i tak dalej. Zebrane materiały pozwoliły mi opracować wzorcowy prototyp ducha wraz z wariantami, uwzględniającymi szczególnie wyszukane życzenia...

TARANTOGA: Jednym słowem, wymyślił pan sposób symulowania duchów, tak? Humbug, naukowo opracowany? Wybaczy pan, ale to zakrawa ma okpiwanie naiwnych, żebym nie powiedział — na oszustwo...

ZUMPF: Ależ bardzo proszę! Co pan mówi? Humbug? Oszustwo? Nic podobnego. Niczego nie udaję. Mówię wyraźnie: duchów nie było. Ale i samolotów nie było, a teraz są, bo zostały skonstruowane. Sądzi pan, że nie można zbudować ducha? To się pan myli, bo ja to już zrobiłem. Po uzyskaniu niezbędnych kapitałów w każdej chwili gotów jestem rozpocząć produkcję seryjną...

TARANTOGA: Duchów? W jaki sposób?

ZUMPF: Moim aparatem, widmotronem, którego plany oraz cała techniczna specyfikacja znajduje się w tej teczce!

TARANTOGA: Można zobaczyć...?

ZUMPF: Przykro mi, ale na razie to niemożliwe. Pierwej musielibyśmy dojść do wstępnego porozumienia.

TARANTOGA: A teraz nie udzieli mi pan dalszych wyjaśnień?

ZUMPF: Widmotron nie jest jeszcze opatentowany. Dlatego nie mogę, niestety, nic powiedzieć.

TARANTOGA: W takim razie proszę spisać to, co będzie pan mógł wyjawić, uzyskawszy patent, i złożyć to u mego sekretarza.

ZUMPF: Zastosuję się... i dostarczę także pewnych — próbek...

TARANTOGA: Jakich próbek?

ZUMPF: Ektoplazmy, wioskowych odlewów... a także zdjęć fotograficznych.

TARANTOGA: Doskonale. Do widzenia.

ZUMPF: Moje uszanowanie. Dam o sobie znać. *(Wychodzi).*

TARANTOGA: Panie Sianko!

SIANKO *(wchodząc)*: Słucham.

TARANTOGA: Dużo tam jeszcze interesantów?

SIANKO: Zostało trzech. Cóż ten inżynier? Wariat?

TARANTOGA: Niewątpliwie. Czy już naprawdę nie ma na świecie prawdziwych wynalazców?

SIANKO: Prosić następnego?

TARANTOGA: Zaraz. Głowa mnie rozbolała. Wezmę proszek *(bierze proszek, popija wodą)*. A pan, panie magistrze, może już iść do domu. Skoro tylko trzech zostało, dam sobie radę.

SIANKO: Tak, panie profesorze. A więc do jutra.

TARANTOGA *(otwierając drzwi do poczekalni, po wyjściu Sianki)*: Który z panów? Proszę.

SZYBKI: Teraz ja. Dzień dobry.

TARANTOGA: Słucham pana.

SZYBKI: Jako człowiek interesu nie będę marnował słów. Moja propozycja dotyczy nie jednego wynalazku, lecz całego sekwensu.

TARANTOGA: Sekwensu?

SZYBKI: Tak. Pan nie gra w brydża? Zresztą, mniejsza o to. Mogę pana wprowadzić w szczegóły, gdyż pierwszą część sekwensu już opatentowałem.

TARANTOGA: To chwalebne.

SZYBKI: To, co panu zademonstruję jako numer jeden, będzie istnym złotym jajem, to jest kurą znoszącą złote jaja dla tego koncernu, który stoi za panem!

TARANTOGA: Koncern — za mną? Dobrze, dobrze... a więc?

SZYBKI: Proszę... (*szelest rozwijanego papieru*).

TARANTOGA: Co to jest? Balon stratosferyczny? Czy jajo? Pan mówił coś o jajach...

SZYBKI: Nie. To model Anteru, powiększony w skali 1 : 40. Oryginał mierzy zaledwie dwadzieścia siedem milimetrów na osiem. To nie jajo, lecz zmikrominiaturyzowany nadajnik radiowy, odporny na działanie kwasów żołądkowych...

TARANTOGA: Radio do zażywania?

SZYBKI: Pan nader bystry! Istotnie, to radio zażywa się, a raczej łyka w razie niebezpieczeństwa...

TARANTOGA: Przepraszam — a nie stanie w gardle?

SZYBKI: Mowy nie ma! Proszę, oto makietka, może pan od razu połknąć. Mam ich pełne pudełko. Nie ryzykuje pan nic — to tylko makieta.

TARANTOGA: Na razie nie skorzystam, dziękuję.

SZYBKI: Ten epokowy wynalazek zlikwiduje koszmarną plagę naszych czasów, jaką jest terroryzm w różnych postaciach, zwłaszcza jako porywanie i uprowadzanie ludzi!

TARANTOGA: Można wiedzieć jak?

SZYBKI: Można. To antidotum przeciwko porywaniu. Powiedzmy, że chcą pana porwać. Jedzie pan sobie spokojnie autem, aż tu zajeżdżają panu drogę, wywlekają pod rewolwerami a wiążą pana jak barana...

TARANTOGA: To byłoby w samej rzeczy przykre. I co ja na to...?

SZYBKI: Widząc, co się święci, gdy tylko zmuszą pana do zatrzymania auta, sięga pan do kieszonki kamizelki po swój Anter, kładzie go pan na języku — nie trzeba ślinić dla lepszego poślizgu, to jest teflon — i łyka pan w okamgnieniu. Upřednio dobrze jest wytrenować to sobie w domu przed lustrem, dlatego do osobistego Anteru będziemy dostarczali treningowe makiety, w smokach czekoladowym i cytrynowym, żeby klienci

zdobyli wprawę w błyskawicznym łykaniu. (Przed połknięciem należy go tylko leciutko nagryźć, dzięki czemu włącza się prąd i odtąd Anter przez sto godzin nadaje sygnały alarmowe, które odbiera się w zasięgu stu metrów. Kto chce, może nabyć Supeoramter, o zasięgu dwóch kilometrów. Sygnały są zindywidualizowane, dzięki czemu policja dowiaduje się natychmiast, kogo porwano!

TARANTOGA: A, to tak... I gdziekolwiek uprowadzą porwanego, nadajnik będzie sygnalizował miejsce z jego żołądka!

SZYBKI: Właśnie!

TARANTOGA: A jak mu od razu dadzą na przeczyszczenie, temu porwanemu? To całkiem prawdopodobne, wie pan. Takie wiadomości prędko się rozchodzą. Więc, gdy będą kogoś porywać, to nim jeszcze zwiążą go jak barana, nóż między zęby i kapsułka z olejem rycynowym do gardła. Co pan na to?

SZYBKI: Samozrozumiałe, profesorze. Powłoka Anteru pokryta jest potężnym środkiem przeciwbiegunkowym!

TARANTOGA: Ach, mój kochany, wobec tego powstanie groźna możliwość obustronnej eskalacji!

SZYBKI: Jak pan profesor to rozumie?

TARANTOGA: Zwyczajnie — gdy my będziemy ładowali do tej kapsułka coraz silniejsze środki wstrzymujące, porywacze będą się uciekali do czyszczących.

SZYBKI: Daremnie usiłuje pan obrócić mój wynalazek w absurd. Nie o to chodzi, żeby w ogóle powstrzymać ruchy jelit, bo to niemożliwe, lecz o to, aby opóźnić wydalenie nadajnika z organizmu! Wsadzają pana do jutowego worka lub też rolują pana w dywan, hej — góra na ciężarówkę i jazda, a tymczasem, nim jeszcze szofer wrzucił jedynekę, policja już odebrała sygnały i rusza na ratunek. Helikoptery z czułymi odbiornikami i tak dalej. Zresztą to nie wszystko.

TARANTOGA: Wykombinował pan dalsze usprawnienia?

SZYBKI: Owszem, lecz poniekąd na kontre..

TARANTOGA: Jak proszę?

SZYBKI: No, dla przeciwnej strony. Jak wiadomo, metal nie przepuszcza fal radiowych. Aby udaremnić porwanemu sygnalizację, najprościej zapakować go do bagażnika samochodowego. Ale jeśli porwany jest znacznej tuszy, mogą powstać trudności. Więc wtedy porywacze winni posłużyć się tą oto estetyczną peleryną, która jako pokryta folią metalową, doskonale ekranuje fale radiowe. Mężczyzna porywacz może nosić moją pelerynę w kieszeni, a porywa czka — w torebce. Człowiek, owinięty w ten sposób, nie

daje znaku życia. Proste, co?

TARANTOGA: Wybacz pan, ale to jakieś... dziwne. Najpierw wymyśla pan środek przeciw terroryzmowi, a potem oferuje pan antyśrodek, dzięki któremu interesy porywaczy znów będą prosperowały? To po prostu nieładne!

SZYBKI: Nie wiem, czy to ładne czy nieładne, bo się tym nie interesuję. Prędzej czy później i tak ktoś wpadłby na ten pomysł z owijaniem porwanego folią metalową i zarobiłby na tym ładny grosz, więc po co ktoś inny ma zarobić jeśli ja miogę?

TARANTOGA: No, ale skoro tak, to po go pan się ma w ogóle fatygować tą produkcją dla jednej i drugiej strony? Przecież po wprowadzeniu radia i folii wynik staje się remis wy — żadna ze stron nie zdobyła przewagi!

SZYBKI: Nie jestem lepszy ani gorszy od państw które sprzedają innym czołgi i broń przeciw czołgówą. Zresztą mam tu, w tej walizce, trzeci numer mego wynalazczego sekwensu. Proszę bardzo!

TARANTOGA: To? Przecież to zwykła pestka od dyni.

SZYBKI: Nie, to tylko zewnętrzny kamuflaż. „W środku siedzi heterodynka na obwodach scalonych. Trzyma pan kilka sztuk naraz w uszach, jakby pan sobie gryzł pestki, i wystarczy wypluć, na .lepiej na porywacza, to mu się przyklei do ubrania i zacznie nadawać Zasięg sygnałów — dziewięćset metrów. Powyżej tuzina — rabat piętnaście procent. ten sposób, niewinnie popluwając, porwany może sygnalizować całą drogę, wzdłuż której go wiozą. Nawet jeśli zmieniają auta.

TARANTOGA: A jeśli go od razu zakneblują]

SZYBKI: I na to mam kontrśrodek, ale nie mogę go panu wyjawić, bo nie jest jeszcze opatentowany. Za pięć dni będę już mógł. .

TARANTOGA: Ale i na ten kontrśrodek ma pan pewnie jakiś superkontrśrodek, co?

SZYBKI: Jasne. Powiem od razu, bo nie lubię tracić czasu — mam ich czterdzieści siedem w tej walizce.

TARANTOGA: Po połowie dla porywanych i dla porywaczy, nieprawdaz?

SZYBKI: Mniej więcej.

TARANTOGA: I pan śmiał mi powiedzieć, że będzie już koniec z porywaniem? Specjalną premię powinien pan dostać od terrorystów. A co ode mnie, zaraz panu powiem...

SZYBKI: Wolnego, profesorze, wolnego. Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Ekspozatu nie mam przy sobie, ale tu oto, w tym katalogu, widzi pan komplet osobistych rzeczy dla zagrożonego pozwaniem. Kosztowny jest, to fakt, ale w porównaniu z przeciętną wysokością okupu są to po prostu grosze. Oto spodnie i

marynarka ze specjalnego materiału. Gdy usiłują pana uprowadzić, najpierw, nieprawdaż, biorą pana za ręce, ciągną siłą za rękawy, za kołnierz, a w każdy cal kwadratowy materiału. (prima kamgarn, mówiąc nawiasem) są wszyte nylonowe nici, spustowe cięgła syreny, umieszczonej w wywatowanych ramionach. Gdy dochodzi do niewielkiej nawet szamotaniny, rozlega się wycie syreny, słyszalne w promieniu czterystu metrów. Potężny alarm, mówię panu! Mowy nie ma o stłumieniu.. Nawet z potrójnego worka, owiniętego kołdrą, będzie pana słychać na całej ulicy! No, a gdyby wzięli się do pana bardziej serio, i zaczyna się darcie odzieży, kołnierz w strzępy, nieprawdaż, zrywają z pana surdut tak, żeby skrępować ramiona, już gorzej z nimi, bo do akcji włącza się wtedy kamizelka. Te cztery kieszonki — widzi pan? Czując, jak szarpia pana za klapy, trzeba tylko oczy zamknąć, bo odpalają się ładunki magnetyczne, cztery ładunki po 10 000 lumenów, błysk jak od bomby atomowej, murowane oślepienie napastnika, a gdyby któryś akurat się odwrócił, też nic mu nie pomoże, bo te ładunki odpalają kolejno z sekundowym opóźnieniem, prawa górna kieszeń, lewa dolna, prawa dolna, lewa górna, a ten dyn! A huk!

TARANTOGA: Tak pan powiada.

SZYBKI: Nie, tak jest faktycznie! No, a gdyby któryś, rozwścieczony, jeszcze pana kopnął, marny jego łosi W tylnej kieszeni spodni, to, co wygląda na portfel, to wcale nie portfel, lecz pojemnik plastikowy z mieszanką gazu łzawiącego i usypiającego. Pęka, i kto stoi blisko, w pół minuty wali się uśpiony, a kto dalej, ten ucieka półprzytomny płacząc jak bóbr i albo łbem w ścianę, albo w brzuch nadbiegającej policji...

TARANTOGA: No, a sam porwany? Te gazy jednak...

SZYBKI: A co mu będzie? Popłacze się trochę i pośpi. Wobec perspektywy porwania — po picciu przyjemność. To jeszcze nie wszystko. Dajmy na to, że w ich aucie siedział odwód i gdy tamci pokotem, rezerwa rzuca się na pana, zdzierają już bezsilną kamizelkę, pewni swego — i tu duża przykrość! Kamizelka jest z tyłu połączona z szelkami, a szelki, proszę, mają bardzo duże klamry. Duże, co? Bo też to nie są zwykłe klamry, tylko ładownice, w każdej po dwadzieścia usypiających pocisków, takich, wie pan, jak te, których weterynarze używają do usypiania dzikich zwierząt. Więc, gdy rwą z pana kamizelkę, pańskie szelki oddają dziesięć strzałów na sekundę we wszystkie strony, huraganowy ogień defensywny, można powiedzieć. Omawiałem to z prawnikami, a jakże, zawsze zasięgam porady prawnej, mucha nie siada, bo gdy drą z pana wszystko do koszuli, jest to już stan obrony koniecznej i właściwie szelki mogłyby nawet ostro strzelać, ale zabłąkana kula mogłaby i pana trafić.

TARANTOGA: A gdyby żaden z tych pocisków nie trafił, już koniec?

SZYBKO: Jaki koniec? Jest jeszcze koszula, i kalesony też nie powiedziały ostatniego słowa!

To jest dopiero clou obrony: kontratak na całym froncie! Z pozoru — zwykła elegancka popelina. W rzeczywistości dwuwarstwowy plastik, a między tymi warstwami — cieniutkie jak włos rurczki, mikrospiralki, załadowane kryształkami dwufenylochloiperytu oraz zwyczajnym prochem strzelniczym. Koszula działa na zasadzie pokrzywy! Spiralki połączone są z mikrokomputerkiem, który tkwi w pańskim krawacie. W węźle. Gdy już zerwali z parna kamizelkę i biorą za krawat, żeby dobrze panu wlać, komputer, zważywszy całokształt sytuacji, włącza zapalnik, proch eksploduje, i z rozerwanej spirali w kłębach dymu wylatują kryształki, rażąc wszystkich w promieniu dziesięciu metrów. Co pan na to?

TARANTOGA: No wie pan! Z tym, to pan już jednak przeholował! Nosić koszulę, która może wybuchnąć od byle pociągnięcia za krawat! Dziękuję bardzo. A poza tym, ten iperyt w kryształkach musi przede wszystkim poparzyć tego, kto ma koszulę na sobie!

SZYBKI: Po kolei, profesorze, po kolei! Primo, sto razy może pan ciągnąć za krawat i koszula nie wybuchnie, bo w węźle nie tkwi jakiś dumny zapalnik mechaniczny, lecz specjalnie zaprogramowany komputer, który stale bada pańskie tętno i ciśnienie kiwi. Dopiero gdy dane wskazują na olbrzymie podniecenie — a trudno nie być podnieconym, kiedy porywają! — oraz kiedy ponadto zapalnik zostanie odbezpieczony dzięki rozerwaniu kamizelki, komputer daje ognia! Na ciele ma pan przyklepione takie same czujniki, jakich używają astronauty, wie pan, na żebrach, przy tętnicy szyjnej, a przewody idą do krawata. Secundo, ten preparat iperytowy wywołuje takie pieczenie skóry, że zwariować można. Zatrzymuje szarżującego nosorożca afrykańskiego na miejscu, a to coś znaczy! Tertio, pod koszulą nosi pan specjalny podkoszulek z hartowanej blaszki tytanowej, 0,01 milimetra grubości, którego kryształki nie są w stanie przebić. Quarto, w momencie odpalenia komputer posyła specjalny rozkaz do kołnierzyka koszuli. Kołnierzyk wypełnia się momentalnie gazem i na kształt wydętej tarczy od dołu osłania pańską twarz przed eksplozją. Gaz idzie z mikropojemnika na plecach, przyklepionego plastrem między łopatkami. Cała akcja trwa łącznie 0,2 sekundy. Osobom wrażliwym zalecam stale noszenie moich lekkich rękawiczek ochronnych. Jak to się panu podoba?

TARANTOGA: Owszem, ale... noszenie takiej odzieży, takiej bielizny musi być uciążliwe. Blaszany podkoszulek... te czujniki...

SZYBKI: Nie wybrzydzałby pan tak, gdyby pańskie nazwisko figurowało wysoko na liście

kandydatów do porwania. Uciążliwe! A leżeć w worku pod kartoflami lub pod koksem w jakiej; piwnicy, czekając zmiłowania bożego, nie jest uciążliwe? Zresztą, to jeszcze nie koniec... Nie jest przecież powiedziane, że wszystko musi iść podług jednego schematu — ze najpierw biorą pana za kołnierz, potem za klapy, potem za kamizelkę i tak dalej. Jakiś narwany terrorysta może panu dać w zęby od razu. Otóż, przy uderzeniu w szczękę albo gdy zgrzytnie pan zębami, z pańskiej jamy ustnej bucha BBV i daje podstawę do przetargów.

TARANTOGA: BBV? Co to jest?

SZYBKI Biologiczna broń wirusowa. Wirusy najnowszego typu, niesłychanie zjadliwe, nosi się je w żabach trzonowych — w specjalnych plombach. Śmiertelność dochodzi do stu procent!

TARANTOGA: Toż największe niebezpieczeństwo zagraża temu, kto nosi w zębach te wirusy !

SZYBKI: Bynajmniej, bo jest uodporniony. Natomiast w momencie porwania rozgryza pan te pojemniczki i dość chuchnąć na terrorystów, żeby przystąpić do ratunkowego przetargu!

TARANTOGA: Do jakiego przetargu?

SZYBKI: Środek przeciw tym wirusom znajduje się w specjalnym sejfie, pod stałą opieką policji. Powiada pan porywaczom: wypuście mnie natychmiast całego i zdrowego, to dostaniecie lekarstwo, a jak nie, to marnie zginiecie!

TARANTOGA: Jakże — człowiek ma chodzić, nosząc w jamie ustnej zjadliwe zarazki? Ależ to okropne! Można przecież nagryźć je niechcący i chuchnąć na kogoś Bogu ducha winnego! Co wtedy?

SZYBKI: Poszkodowany zgłosi się na policję i otrzyma lekarstwo.

TARANTOGA: Czy ono jest stuprocentowo skuteczne?

SZYBKI: Nie. Nie jest. Cudów nie ma. W ośmiu procentach przypadków dochodzi i przy leczeniu do trwałego paraliżu, bo te wirusy atakują system nerwowy. Cóż pan tak na mnie patrzy? Mówi się trudno. Czy to ja wymyśliłem terroryzm? Wedle stawu grobla. W każdym razie mój wynalazek oparty na BBV jest nieprześcigniony. Jednym chuchnięciem likwiduje pan w zarodku zakusy porywaczy. Nawet gdyby pan nosił w zębach wirusy zwykłego kataru, bo terroryści nie będąc bakteriologami, nie mogą tego sprawdzić!

TARANTOGA: Obawiam się, że oni też nałożą wnet pancerne podkoszulki, maski, rękawiczki i w rezultacie znów staniemy w martwym punkcie.

SZYBKI: Myli się pan. Moją zasadą jest współczesna myśl strategiczna. Najważniejsze jest

odstraszanie agresora. Arsenał atomowy też ma przede wszystkim zniechęcać — uważa pan? Ten, kto nabywa mój komplet — antyterrorystyczny, nie powinien się z tym kryć. Przeciwnie, niech wszyscy wiedzą, że ma w surducie i w okularach syreny, iperytową koszulę i jadowitą sztuczną szczękę!

TARANTOGA: Sztuczną szczękę? To najpierw trzeba dać sobie wyrwać wszystkie zęby?

SZYBKI: Nie, po co wyzywać? Po jednej — drugiej próbie nieudanego porwania i tak już wszystkie poszły. Problem jest klasyczny, wie pan: tarcza i miecz. Taka rywalizacja ma doskonale skutki!

TARANTOGA: Na przykład jakie?

SZYBKI: Powstaną nowe gałęzie przemysłu usługowego, na przykład przemysł zbrojeniowo-bielizniarski, dentystryka bakteriologiczna, elektronika odzieżowa, a tym samym powstanie mnóstwo nowych miejsc pracy. Czy to źle? No a wpływ na pańską modę będzie wprost olbrzymi. Kobiety też się porywa, najchętniej jako zakładniczki podczas zamachów na banki. Dla pan mam estetyczną biżuterię rozpryskowa, wstrząsowe desusy, nawet pan sobie nie wyobraża, ile aparatury można zmieścić w damskim obcasie à la słup. Pracuję teraz nad urządzeniem, które na okrzyk „Ręce do góry!” automatycznie oślepią fleszami w klipsach i stawia zasłonę dymną. Skomplikowana sprawa, ale mam już pewne wyniki. Jak pan widzi, że mnie to nie żaden oderwany od życia fantasta, rezoner z głową zagwożdżoną ideologicznie, nie podobnego, wierzę w postęp, w naukę i jestem w stałej łączności z obiema stronami dla doskonalenia prototypów!

TARANTOGA: Z obiema stronami, powiada pan?

SZYBKI: Naturalnie. Zarówno z policją, jak i z renomowanymi porywaczami, co to nie rzucają pogroźek na wiatr. Niewątpliwie dojdzie do eskalacji, ale chyba rozumie pan, że w ostatecznym wyniku obrona zwycięży, bo przyjdzie chwila, w której porywacz będzie zmuszony działać w potrójnym azbestowym kombinezonie za systemem pancernym tarcz, przy współdziałaniu rakiet i laserów, a tego już nie uda się zminiaturyzować tak, żeby mógł wszystko upchnąć w kieszeniach! Już dziś prymitywne porywanie metodą zbója Madeja to anachronizm. Technika decyduje o wszystkim.

TARANTOGA: No cóż, dziękuję panu za to exposé. Mój sekretarz udzieli panu rychło odpowiedzi...

SZYBKI: Ale proszę się nie spieszyć, bo nie brak mi ofert! Uszanowanie panu profesorowi!
(wychodzi).

TARANTOGA: Do widzenia. (Po chwili otwiera drzwi do poczekalni). Proszę... Który z

panów następny?

PAN I: Jesteśmy razem — z kolegą.

TARANTOGA: To proszę panów obu. Proszę siadać.

PAN I: Muszę wyjaśnić wstępnie, panie profesorze, że nie oferujemy żadnych wynalazków.

PAN II: Przedstawiamy nowy zawód, powołany palącą potrzebą czasu. Jesteśmy antycypistami. Uważamy, że nie dość robić wynalazki — trzeba im ponadto zapobiegać.

TARANTOGA: Muszę panów zmartwić. Nie wpadliście na tę myśl pierwsi. Był tu już u mnie ktoś, kto nosi się z zamiarem zakrywania odkryć...

PAN I: Mój wspólnik wyraził się nieprecyzyjnie. Pod profilaktyką wynalazczą rozumiemy przygotowanie społeczeństwa na innowacje, a nie zagważdzenie myśli twórczej. Jeśli pan pozwoli, przedstawimy panu nasze przedsięwzięcie na konkretnym przykładzie.

TARANTOGA: Słucham.

PAN II: Ludzkość była dotąd trafiona niespodziankami postępu jak zając szalem w polu — bez uprzedzenia, orientacji i zaprawy. Pan Benz i pan Daimler odpiłowali dyszel od konnej bryczki, wsadzili do niej benzynowy silniczek, a nikt nie postarał się przewidzieć skutków tego kroku, dzięki któremu mamy dziś pełno ołowiu w (kościach, dymu w płucach i dziurę w kieszeni. Ktoś sobie lekkomyślnie majstruje, a potem cała ludzkość ugina się pod konsekwencjami. Tak dłużej być nie może.

TARANTOGA: Jednym słowem uprawiacie panowie futurologię?

PAN I: Bynajmniej. Najlepiej pojmie pan istotę naszej działalności na zapowiedzianym przykładzie. (*szelesty*) Oto profesorze, Atlas Przyszłej Anatomii Człowieka

TARANTOGA: (*kartkując*) Toż, to jakieś fantastyczne stworzenia Co to za kulki?

PAN II: To są łożyska kulkowe w stawach Koniec z reumatyzmem Jak wiadomo, inżynieria genowa na razie nie istnieje. Powstały tylko jej szanse. Wprawdzie uczeni namawiają się teraz żeby w ogóle zaniechać tego inżynierstwa w obrębie ciała ludzkiego, ale nawet dziecko wie, jak to się kończy Obiekcje wysuwano również przeciw balonom, samolotom, przeciw kolejnym żelaznym, drapaczom chmur i tak dalej, a co wynikło z tych obiekcji? Nic! Możemy więc sobie rzec spokojnie, że wnet przyjdzie czas przerabiania naturalnego prototypu człowieka Homo sapiens zostanie naukowo skrytykowany, przekonstruowany i usprawniony Tu oto na tej tablicy, widzi pan skutki reorganizacji układu trawiennego

TARANTOGA: Co on tu ma w żołądku? Zęby?

PAN I Stoimy na schyłku ery frykasów Żeby żywić korą drzewną nie wystarczą zęby w ustach. Potrzebne jest rozcieranie miazgi w przewodzie pokarmowym. Ten osobnik

będzie się mógł żywić absolutnie wszystkim — włącznie z torfem. A tu widzi pan radykalną reorganizację dróg moczopłciowych Tutaj kończyny dolne samca i samicy człowieka w roku 2150 plus minus dziesięć lat dopuszczalnego odchylenia

TARANTOGA: To kolana będą się im zginały do tyłu, a nie do przodu? Można wiedzieć, dlaczego?

PAN II: Człowiek siedząc zajmuje więcej miejsca, niż stojący ptak tej samej wielkości. Zechce pan to skonstatować na tym porównawczym wykresie. Siadając, człowiek musi wysuwać kolana do przodu, zajmują one wtedy dodatkową przestrzeń, stwarzając między innymi kłopoty projektantom aut. Natomiast kura czy struś siada na własnych nogach, które w ogóle nie wystają poza obrys ciała. Do tej przeróbki stawów kolanowych musi dojść wskutek rosnącego tłoku, czyli braku miejsca. Ludzie z kolanami sterczącymi do przodu staną się rychło zakałą, słusznie prześladowanymi wstecznikami, dowodem ciemnoty i bezmyślności tradycjonalizmu...

PAN I: Horacy me unoś się! Mój współnik jest entuzjastą–pedeklastą, profesorze

TARANTOGA: Przepraszam — jak pan powiedział?

PAN I: Powiedziałem „pedeklasta”, czy panu się coś przesyłało? Pes, pedis — noga, klazja — łamanie, zginanie. Że kolana do tyłu. On dokonał tego odkrycia. Ale kwestia kolan to tylko marginalny szczegół. Co innego — etapowe przekonstruowanie płci! Proszę, na tych tablicach, od strony 359...

TARANTOGA: Paaowie przewidujecie oko w pępku?

PAN I: To nie jest zwykłe oko i to już nie jest pępek. Ludzkość odziedziczyła rozwiązanie spraw rozrodu po zwierzętach z nader fatalnymi konsekwencjami. Wydalniczy układ moczowy został połączony z układem płciowym, bo było to najprostsze i oszczędne materiałowo. Ale jak wiadomo, narzędzia uniwersalne, co to służą wielu czynnościom naraz, są niewiele warte. Młotek, który nie jest tylko młotkiem, ale ponadto jeszcze ubijakiem piany, łyżką do butów, śrubokrętem oraz korkociągiem, jest jako młotek zawsze gorszy od zwyczajnego młotka. Krzesło, którego można też użyć jako laski, nie jest ani wygodnym krzesłem, ani poręczną laską. A ponadto umiejscowienie narządów rozrodczych niestety zachowało do dnia dzisiejszego charakter publicznego skandalu, żebym nie powiedział wręcz: policzka, wymierzonego dobremu wychowaniu, estetyce oraz wyższym ideałom. Jeszcze święty Augustyn zauważył trafnie, ze inter faeces et urinam nascimur. Miejsce, z którego człowiek rzuca pierwsze spojrzenie przychodząc na świat, nie zostało wybrane zbyt szczęśliwie z punktu widzenia estetyki oraz godności naszego gatunku. Tylko od wieków trwającą niemocą wykonania niezbędnych

przeróbek można tłumaczyć istniejący dotąd wulgarny stan rzeczy. Jasne więc, że gdy tylko inżynieria genów ruszy z posad zakrzepłą budowę ciała, na pierwszy ogień pójdzie seks!

TARANTOGA: Powiedzmy... ale co ma do tego pępek?

PAN II: Pępek był dotąd kompletnie zmarnowany i zaniedbany. Pępek leży odłogiem. Pępek ugoruje, czy nie uważa pan? Do czego służy nam pępek, choć jest zlokalizowany tak centralnie, w tak eksponowanym i korzystnym miejscu? Absolutnie do niczego! Z tym się skończy. Więc to nie my postanowiliśmy wciągnąć pępek do jakiejś doniosłej akcji, zaprzac go do służby człowiekowi. Myśmy tylko wykryli, do czego prowadzi przyszłość pępka. Bo my niczego nie zmyślamy, profesorze, nie przepowiadamy, my chcemy tylko przygotować społeczny grunt tak, by umiał właściwie przyjąć wszystkie idące nieuchronnie przemiany! W tym wypadku idzie o nową anatomię. Ludzi trzeba uświadamiać, krytykować to, co mają w brzuchu, w kościach, w głowie, zęby właściwie ocenili dobrodziejstwa inżynierii genów. W przeciwnym razie zaprą się jak osły i nowe ciało spadnie im na łeb bez przygotowania, przynosząc więcej biedy niż pożytku. Tak jak było z wynalazkami auta czy rakiety. Rozumie pan?

TARANTOGA: Rozumiem waszą intencję... ale nie rozumiem, coście zrobili z pępkiem. Przecież widzę tam jakieś oko!

PAN I: Jest to oko perskie, czyli erotyczne, które przygotowuje intymne kontakty w duchu równości i wzajemnego poszanowania płci. Nikt już nikogo nie będzie dosiadał, tłamsił, dojeżdżał i tak dalej. Hippiczna, by tak rzec, faza erotyki ma się ku końcowi.

TARANTOGA: A co to za zbiegowisko tutaj?

PAN I: To nie zbiegowisko, lecz zwyczajne małżeństwo przyszłości.

TARANTOGA: Rodzina z dorosłymi dziećmi? Co oni robią? Tańczą?

PAN I: Nie Oni — wydają na świat potomka

TARANTOGA: Rodzą? Jedno dziecko? Wszyscy na raz?

PAN I: Tak — to jest poród taśmowy. Ruch women's liberation utyka dziś na anatomii jako niezwalczonyj przeszkodzie. Jakaż równość jest możliwa, jeżeli żona musi wszystko sama, a mąż może najwyżej pójść po kwiaty? Anatomie tę oddamy tam, dokąd poszły maczugi kamienne — do muzeum.

TARANTOGA: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć., małżeństwo z jedenastu osób?

PAN I: Tak, z odchyleniem o jedną lub dwie osoby w obie strony. Pana to zaskakuje?

TARANTOGA: Poniekąd. Ten tłum to małżeństwo .. Jak można wspólnie rodzic?

PAN I: A jak można wspólnie zbudować auto? Taka potrzeba już kiełkuje w masach

dowodem na to choćby grupowy seks. Ponadto wciąż trwa niepokonywalna sprzeczność między publicznym charakterem społeczeństwa a prywatnym charakterem małżeństwa
Przyzna pan sam ze sprawy łoża małżeńskiego nie są sprawami publicznymi

TARANTOGA: I to jest złe?

PAN I: Fatalne! Pluralizm małżeński likwiduje tę sprzeczność. Dzięki samej liczbie partnerów, wszystko, co prywatne, staje się publiczne. W związku dwuosobowym w wypadku sporu małżeńskiego nie ma miejsca na mediację i arbitraż. O byle co trzeba iść do sądu. Natomiast przy dwunastu małżonkach zwaśnieni zawsze znajdą we własnym gronie mediatora. Dalej, różnice płci są dziś skrajne, każdy jest albo kobietą, albo mężczyzną, i koniec. Temu się zaradzi. Stopniowe przejścia, subtelne gradacje otworzą nowe horyzonty miłości. I wreszcie sprawa główna — decyzja posiadania dzieci. Dziś to, czy ma być dziecko, zależy od głupstw w rodzaju braku światła, benzyny lub strajku, natomiast w małżeństwie pluralistycznym na początku będzie narada robocza. Wszystko się pierwiej podda pod głosowanie.

TARANTOGA: I dzieci będą przychodziły na świat większością głosów?

PAN I: Oczywiście. Na tym polega demokracja.

TARANTOGA: Wciąż nie wiem, skąd panowie bierzecie pewność, że tak właśnie będzie? A może na odwrót, może człowiek urobi się w hermafrodytę i powstaną, mówiąc obrazowo, jednoosobowe komórki matrymonialne?

PAN I: Anatomicznie byłoby to możliwe. Lecz my wkraczamy w tym miejscu jako antycypiści, i oby ostrzec przed koszmarnymi skutkami unigamii. Jakże, poczynąć dziecko machinalna, jakby się dłużyło w nosie?... To wywołałoby dopiero potop ludnościowy.

TARANTOGA: Więc panowie zajmujecie się jednak futurologią? Skoro przewidujecie...

PAN II: Zmiany anatomii przewidujemy tylko wstępnie, dla naszej właściwej działalności. To był jedynie przykład. W oparciu o dane takich przemian kodyfikujemy, doradzamy, ostrzegamy, organizujemy i planujemy. Oto na przykład kodeks karny na rok 2150, a to — kodeks prawa cywilnego, dostosowany do nadchodzącej budowy człowieka...

TARANTOGA (kartkując): Ale tu jest coś o służbie zdrowia...

PAN II: Bo pan przegląda kodeks lekarski. W tej sferze znajdą największe zmiany. Zechce pan zauważyć, że człowiek jest swoimi zmysłami zwrócony w świat zewnętrzny, a nie w głąb własnego ciała. Potrafi pan dokładnie spostrzec ptaszka na drzewie w odległości stu metrów, może pan usłyszeć, jak żaby kumkają za stawem, ale nie ma pan pojęcia o tym, co się dzieje w pana szpiku, w brzuchu lub w uchu. Wiadomości nadchodzące z

wnętrza własnego ciała są zawsze mętne, nieokreślone, więc tym samym mylące, tu coś gniecie tam coś strzyka. Taka niewyrazistość ogromnie utrudnia lekarzom pracę. W przyszłości człowiek będzie miał niżej karku estetycznie zaprogramowaną tablicę znamionową ze wskaźnikami, podającymi doraźny stan życiowych narządów. Jeden rzut oka na wskaźniki i diagnoza postawiona. A po dalszych pięćdziesięciu latach nie będzie już wizyt lekarskich, bo centralny dozór zdrowia zdalnie będzie się opiekował biegiem życiowych procesów każdego obywatela, aby w razie potrzeby drogą radiową rozpocząć leczenie...

TARANTOGA: No dobrze... a więc ten pępek... oko w pępku i poligamia... i tablica z zegarami na plecach... ale do czego służy ta korba w uchu?

PAN II: To nie korba, lecz modulator inteligencji. Każdy człowiek jako równy wśród równych będzie miał potencjalnie wysoką inteligencję. Wszelako na co dzień posiadanie takiej inteligencji byłoby zbędne, wręcz szkodliwe. Każdy więc nastawi sobie inteligencję tym oto pokrętkiem wedle potrzeby, jaką stawia przed nim w danej chwili życie... Czy to nie proste?

TARANTOGA: Bo ja wiem... W jaki sposób może komuś szkodzić wysoka inteligencja?

PAN I: Na sto sposobów, profesorze! Społeczeństwo złożone z samych geniuszy lub, uchowaj Boże, profesorów uniwersytetu, musiałyby się wnet rozpaść! Inteligencja kaprysi, wszystko krytykuje, przerabia, zazwyczaj na gorsze, ale trzeba przyznać, że zupełny brak inteligencji też nie jest wskazany. Tak więc, przy narodzinach każdego człowieka ustali się ciągnięciem loteryjnym, jak wysoko będzie mu wolno podkrecać sobie osobisty modulator inteligencji. Cała moc rozumu wolno będzie włączać tylko w sytuacjach wyjątkowych i nadzwyczajnych. Podobnie jak dzisiaj, tylko w sytuacji obrony koniecznej wolno człowiekowi działać bez ograniczeń.

TARANTOGA: A ta śruba w drugim uchu?

PAN II: To jest modulator emocji. Zęby można było sobie wybierać i nastrojać usposobienie. Po co martwić się i gryźć czymś takim, na co nie ma rad /? Gdy kogoś spotka ciężka chwila, najpierw nastawi sobie rozum na całą moc, jak powiedziałem, a jeśli nic nie wskóra, wtedy poruszając tą gałką poprawi sobie humor. Ten mały przycisk na potylicy to defrustrator, połączony z wycieraczką pamięci, żeby można było usunąć przykre wspomnienia. Koniec z wszelkimi urazami dzieciństwa i stłumionymi kompleksami podświadomości! Jeden ruch palca i to, co było przykre i dolegało, ulega zapomnieniu. Tu zaś bezpiecznik, żeby ktoś, drapiąc się w głowę, nie wytarł sobie całej pamięci na glanc — chcę rzec, żeby nie wpadł w kompletną amnezję. A to znów jest nastawnik

uczuc. Żeby było można pokochać nie tego, który wpadnie w oko, lecz tego, kogo kochać należy dla przyczyn wyższych, natury społeczno–politycznej. Nie możemy jednak, profesorze, wchodzić dalej w takie szczegóły! Musimy panu przedstawić sprawy ważniejsze od anatomicznych...

TARANTOGA: Jeszcze ważniejsze?

PAN I: Czy słyszał pan o teorii względności egzystencjalnej?

TARANTOGA: Nie przypominam sobie. Raczej nie.

PAN II: To mnie nie dziwi, bo ta teoria powstanie dopiero za dwadzieścia lat. My jednak już teraz przewidzieliśmy ją i możemy pana w nią wprowadzić. Powiedzmy, że powodzi się panu tak jak obecnie, ale wszystkim innym profesorom powodzi się znacznie lepiej. Czy będzie pan rad swemu losowi? Gdzie tam! Będzie się pan czuł poszkodowany. A jeśli na odwrót, wszystkim innym w pana fachu idzie o wiele gorzej niż panu, co wtedy? Wtedy będzie się pan miał za wyjątkowego szczęśliwca.

TARANTOGA: I to jest ta teoria względności? To spostrzeżenie jest stare jak świat.

PAN II: Nie, to tylko wstęp. Dawniej człowiek wiedział tyle o życiu, ile go sam doświadczył. O tym, co robią ludzie w Patagonii czy w Chinach nie miał pojęcia. Często nie wiedział nawet, że ta jakaś Patagonia istnieje. Obecnie człowiek żyje w dwu światach jak w dwu koncentrycznych kręgach. W małym wewnętrznym kręgu doświadcza życia wprost jak dawniej. Większym kręgiem jest cały świat, nie doświadczony wprost, ale podawany do wiadomości. To w tym większym kręgu dowiaduje się pan dziś, że świat zmierza ku rosnącym niedoborom, ku brakom, ku uwiądowi wzrostów. Prawda? Natomiast trzydzieści lat temu w tym kręgu istniała opinia, że świat zmierza ku rosnącemu dobrobytowi. Wtedy panował optymizm, a dziś panuje pesymizm. Wyobraźmy sobie, że pesymizm panowałby już wtedy. Oczywiście na gwałt zaczęto by wykupywać ropę, węgiel i inne surowce, i wszystkie ceny skoczyłyby w górę. A więc to, że wtedy myślano inaczej, stanowi czysty zysk, bez względu na to, jaka będzie przyszłość. Ceny były wtedy stałe, bo ludzie mieli zaufanie do przyszłości. A zatem konkluduje: samopoczucie nie zależy od tego, jaka jest rzeczywiście sytuacja, ale od tego, co się o tej sytuacji myśli. Ta sytuacja dzisiaj to cały świat — nie tylko Ziemia, ale planety, gwiazdy, Kosmos. Cisza nieskończonych przestrzeni Wszechświata przerażała jeszcze Pascala. Na Marsie jest pustynia, na Wenus jest gorące piekło. Po co te przerażenia, te deprymujące wiadomości? Przecież i tak nigdy nie postawi pan nogi na Marsie ani na Wenus. A więc czy nie lepiej, żeby pana zawiadamiano, że na Marsie jest całkiem miło, a w Kosmosie jest moc znakomicie prosperujących planet?

TARANTOGA: Czekajże pan. Już widzę, do czego pan zmierza. Należy ludziom dostarczać wiadomości fałszywych, byle przyjemnych. Tak?

PAN II: Znajduje się pan w niewoli tradycyjnych przesądów, profesorze. Przyszłość wyrzuci je na śmietnik. Opinia sprzed trzydziestu lat, że przyszłość jest różowa, uznana została dziś za fałszywą. Ale ta opinia sprzyjała ludziom, dawała im wyborne samopoczucie.

TARANTOGA: Była to opinia fałszywa, ale nie dlatego, że ktoś ją umyślnie sfalszował. Po prostu tak wtedy wierzono.

PAN II: Otóż właśnie! Tak wtedy wierzono, a dziś wierzy się w coś innego. Historia uczy, że wczorajsze prawdy stają się dzisiejszymi fałszami. Co prawda, to się dzieje całkiem sarno. Nikt tego nie postanawia, nie planuje ani nie organizuje. Z taką żywiołowością trzeba skończyć.

TARANTOGA: Czyli zająć się teorią humanitarnego okłamywania ludzi?

PAN I: Profesorze, każdy człowiek musi umrzeć. Ponadto z każdym przeżytym rokiem zwiększa się szansa zawału serca, białaczki czy raka. Taka jest prawda. Więc cóż, czy dlatego należy codziennie podliczać, o ile punktów wzrosły nasze szansę raka i białaczki? Przecież tak nikt nie robi. O ludziach, co tak robią, mówimy, że nie są normalni, że to hipochondrycy, że popadli w depresję i powinni się leczyć. Pan sam również zachowuje się nie tak, jakby mógł pan w każdej chwili dostać rękę, lecz raczej tak, jakby to nie miało nigdy nastąpić. Uważamy to za normalne. Nikt nie sądzi, że od tego wszyscy ludzie żyją w wiecznym kłamstwie. Kłamstwo to coś całkiem innego. Kłamstwo tkwi w wewnętrznym kręgu doświadczenia, to, gdyby pan miał oka i gdyby panu wmawiano, że to nic nie jest kłamstwo jest tam, gdzie istnieje prawda jako stan rzeczy do doświadczenia, a gdzie go nie ma, tam nie ma i kłamstwa. Przyzna pan że Zeus, Atena, centaury i erynie nigdy nie istniały. Mówimy „to były wierzenia starożytnych Greków”. „To mitologia”. Czy powie pan, że to był fałsz? Jeśli chce pan być całkiem konsekwentny po swojemu, powinien pan uznać, że i to był fałsz. Ale ja twierdzę, że fałsz, to tylko gdybym powiedział panu, że pan jest centaurem. Otóż teoria względności egzystencjalnej głosi, że zewnętrzny krąg wiadomości powinien sprzyjać ludziom. Skoro samopoczucie zależy od tego, co człowiek myśli, a nie od tego, jakie jest to, o czym on myśli, to należy zaspokoić główną potrzebę ludzką: dobrego życia. Nie za pomocą narkotyków i chemicznych używek, niszczących umysł i ciało. Nie za pomocą mitów, fanatyzmów oraz nieodpowiedzialnych obietnic, zapewniających raj w innym życiu, w innym miejscu lub w innym czasie. Potrzebę dobrego życia należy zaspokoić tutaj i teraz.

TARANTOGA: Za pomocą okłamywania?

PAN II: Pan znowu swoje!

PAN I: Czekaj, Piorący. Złe się do tego wzięłeś. Spróbuję metody sokratycznej. Profesorze, o tym, dlaczego świat jest taki, a nie inny, skąd się wziął, ku czemu zmierza, czy świat liczy się z istnieniem człowieka, o tym wszystkim nie dowiemy się w sposób niezbity nigdy. Zgoda?

TARANTOGA: No... zasadniczo tak. Są to sporne kwestie filozofii.

PAN I: Mówiąc „kwestia filozofii” przesuwa pan moje słowa w stronę abstrakcji, która jest źródłem wymyślnego luksusu. Że to niby ludzie na co dzień nie zajmują się takimi kwestiami. Zgoda. Nie zajmują się, ale tylko tak, jak nie zajmujemy się wciąż faktem, że ziemia nie usuwa się nam spod nóg. Że się w nią nie zapadamy. Mówiąc inaczej: te niesprawdzalne wierzenia w kwestii świata i bytu są gruntem, podtrzymującym każdy ludzki krok. Wierzenia te ludzie tworzyli ongiś na oślep, odruchowo, niejako po omacku, instynktownie, tych wierzeń wymyślili tysiące, ale one wszystkie powyrastały jak samosiejki. Jak dziczki. Nie były świadomie dostosowane do ludzkich potrzeb, toteż zaspokajały je tylko częściowo, a potem starzały się i obumierały. Jedne wierzenia były trwalsze od innych, ale na naszych oczach więdną już i te najodporniejsze na upływ czasu. Cywilizacja zmiażdżyła nam archaiczną hodowlę wiar, to ich starodawne, żywiołowe wzrastanie. Zostało tylko trochę skorup, nad którymi pochylają się z troską kościoły, pragnąc ratować co się da. Te zacne starania są daremne. Ze skorup rozbitych wiar można zlepić tylko potworki bredni lub rozpacz i zaślepienia. Można też przeklinać cywilizację za to, że zatrasnęła epokę tamtych rękodzielnych wiar, niosących ukojenie, ale nie warto tego robić. Teoria względności egzystencjalnej nie płacze nad przyszłością, lecz projektuje przyszłość. Kiedyś budowało się dom bez planów i obliczeń! Czy uważa pan, że dziś trzeba budować tak samo?

TARANTOGA: Nie, skoro znamy lepsze metody...

PAN I: Kiedyś można było liczyć tylko na palcach i na papierze. Czy uważa pan, że trzeba tak postępować dalej?

TARANTOGA: Oczywiście, że nie, skoro mamy po temu maszyny. Co z tego?

PAN I: Kiedyś można było nieść ludziom wiarę bardziej potrzebną im od domów i maszyn w prosty, bezpośredni sposób. To już przeszłość, która nie wróci. Ale pozostała potrzeba i tę należy spełnić. Wznieśliśmy materialny świat, świat maszynowy — maszynę bez ducha. Należy tchnąć ducha w maszynę. Źle mówią: należy sporządzić nowy świat, nadrzędny, pojęciowy, więc zbudowany z informacji i dać go człowiekowi. Nie tracąc

ziemi spod nóg, człowiek zamieszka w tym świecie.

TARANTOGA: Zdaje się, że za waszymi słowami nie kryje się cynizm, jaki podejrzewałem. Nie chodzi o chęć oszukiwania ludzi po to, żeby im było przyjemnie, lecz o stworzenie całkiem nowej wiary na miejsce wiar religijnych. Ale to się nie da zrobić, panowie. Przecież najpierw ktoś musiałby wymyślić to wszystko. Ten świat do wierzenia, te informacje, i ten ktoś będzie wiedział, że on sam to zmyślił. Więc na początku będzie kłamstwo. Może bardzo szlachetne w intencji, może takie, jak sztuka — ale jednak kłamstwo. Tego nie da się uniknąć.

PAN I: Ma pan o tyle słusność, że tego nie da się zrobić w jeden dzień ani w dziesięć lat. Myśli pan jednak o przyszłości kategoriami przeszłości, używając takich słów jak „sztuka”, „kłamstwo”, „zmyślić” i tak dalej. Gdy powiemy panu „informatyka”, pomyśli pan o komputerach liczących pigułki i gwiazdy, rezerwujących łóżka hotelowe, tłumaczących teksty i będzie pan miał rację. Podobnie, jak miał rację ten, kto mówił przed dwoma tysiącami lat o garstce Żydów domokrażców, że to są zwykli rybacy galilejscy i że się tam kręci jakiś syn stolarza czy cieśli. I cóż, czy to nie była prawda? A jednak nie była to cała prawda.

TARANTOGA: Przyznaję się do pewnego zaskoczenia. Panowie istotnie nie jesteście wynalazcami — już raczej apostołami. Ale nie wiem nadal, co głosicie. Czyje przyjdzie chciecie zwiastować? Informatyki? Komputerów, które zmienią świat i polepszą go dla ludzi? W jaki sposób? Skąd i dlaczego? Przecież to jest tylko pewien fach — to jest wiedza plus eksperci, plus maszyny i nic więcej. Czy w te maszyny ma skądś zejść duch nowego objawienia?

PAN I: Profesorze, my nie głosimy żadnej konkretnej wiary. Główne pana zastrzeżenie dotyczy autorstwa wiary. Że wiara musi być spowita w swoim źródle tajemnicą — że nie można wskazać kogoś jako tego, kto ją wymyślił. Z czego, podług pana, wniosek, że nic się nie da zrobić. Tak nie jest. Tajemnica pozostanie, ale będzie zupełnie inna aniżeli w religii. Nie będzie to tajemnica ulokowana gdzieś poza światem, poza życiem, lecz tutaj. Widzę pana zniecierpliwienie. Pan chce, bym powiedział konkretnie: kto, w jaki sposób, dzięki jakim planom i założeniom zacznie konstruować tę nową wiarę, ten nowy dom dla ludzkiej myśli. Otóż — ja nie mogę używać przyszłych pojęć dla oznaczenia przyszłych spraw, bo jeszcze nie powstały. Muszę używać pojęć dzisiejszych i dlatego tak opornie to idzie. Mogę rzec: „Powstanie inżynieria sensów i wartości, nie dla wytwarzania propagandowej otuchy, lecz dla służby ludzkim potrzebom”. Mogę powiedzieć: „Kiedyś utka się światowa sieć łączności, zabezpieczona przed inwazją

interesowności ekonomicznej, przed wtargnięciami prze— mocy i będzie wysnuwała zwrócony ku ludziom labirynt dobrych sensów istnienia”. Mogę rzec: „Ostateczną racją robienia dowolnej rzeczy nie może być owa rzecz, ale coś ponad rzeczami, a gdy źródła tradycyjne takiej racji wysychają, trzeba zadbać o ich nowe przypiływy”. Albo też: „Jeśli można wynaleźć nową technikę, można też wynaleźć nowe dla niej zastosowanie”. Mogę użyć jeszcze wielu takich przyrównań, ale one wszystkie są wichrowate względem istoty sprawy. W pewnym sensie kapłan odprawiający mszę zachowuje się jak kiper i jak gospodyni domowa, pociąga wino z kielicha, a potem osusza kielich ściereczką. Pije wino i wyciera naczynie. Czy tak nie jest? Istotnie tak jest, ale czy o to chodzi? Chodzi raczej o przymierze z Bogiem. Ale my nie głosimy takiego przymierza. Głosimy przymierze człowieka z nim samym, za pośrednictwem przez tworzenie nowej — następnej racji istnienia. Tu pan gotów wtrącić: „A więc kłamstwa!” Ale to nie będzie kłamstwo. To już nie będzie kłamstwo. Dlaczego? Dla tego samego powodu, dla jakiego olbrzymi pożar, to już nie pożar, lecz gwiazda, a bardzo zawiły związek chemiczny już nie jest związkiem chemicznym, lecz życiem. Tak samo doskonała imitacja myślenia staje się duszą i — jeśli już pan tego chce koniecznie — doskonałe kłamstwo takie, jak sztuka, staje się prawdą. Czyż słowa „Człowiek może latać” nie były ongiś nieprawdą? Były kłamstwem, bo wtedy nie mógł. Uczony, który w probówce syntetyzuje wirusa, sam się zagubi pomiędzy autentycznym wirusem i kopią, bo są nie do odróżnienia. Istnieje więc próg, za którym imitacja równa się kreacji, sztuczne staje się autentyczne, a fikcja może przewyższyć rzeczywistość. Rozumie pan?

TARANTOGA: Rozumiem. Panowie... nie przekonaliście mnie. Nie uwierzyłem w waszą wizję. Może to kwestia zbyt małej wyobraźni, a może zbyt wielkiego sceptycyzmu. A może tylko mojej mizantropii. Nie wiem. Mimo to dziękuję wam. Ciekawa rzecz: nie uwierzyłem wam, a jednak czuję się jakoś różnie. Nie zostałem konwertytą waszego zwiastowania, ale jakoś cieplej zrobiło mi się koło serca. Może dlatego, że gdy widzę i słyszę, że ktoś na tym giełdowym padole leż, między bombami i cedułami, wyjawia nadzieję, która nie jest ani ekonomiczna, ani geopolityczna z ducha, obniża mi się ciśnienie, a razem z nim i mizantropia.

NOC KSIĘŻYCOWA

SŁUCHOWISKO RADIOWE

(Rzecz dzieje się na stacji księżycowej, zamieszkaney przez dwu ludzi, doktora Millsa i doktora Bloppa. Przebywają na Księżycu długo i oczekują zmiany, mającej przybyć po ich ostatniej nocy księżycowej. Obaj zajęci są układaniem w pojemnikach kamieni, stanowiących próbki geologiczne. Tłem akcji jest bardzo słaby odgłos otaczającej ich aparatury: czasem popiskiwanie aparatury elektronicznej, czasem lekkie cmokanie sprężarki, osobno zaś słychać śpiewny ton, który jest odgłosem fali nośnej, stale łączącej księżycową stację z ośrodkiem lotów w Houston. Obaj krzątają się, ale niezbyt głośno: układają kamienie ostrożnie, więc nie tłuką się nimi).

BLOPP: Co mi dajesz? To znowu breccia. Tamten pojemnik już pełen breccii. Nie ma jakichś plagioklazów?

MILLS: Nie ma. Naliczyłem 118 próbek, waga przeciętna 400 gramów, razem z pojemnikiem około 70 kilo. Zgadza się. Nie?

BLOPP: 70 kilo tutaj, ale na Ziemi będzie ważył sześć razy więcej. Skąd się wziął ten diabaz? Włożę go do tamtego pojemnika.

MILLS: Nie zamknie się.

BLOPP (*spychać szczerknięcie*): Już się zamknął. To z tego ostatniego znaleziska. Ułamałeś na nim świder — pamiętasz?

MILLS: Ostatni kamień i ostatni świder. Pfu, jak ten księżycowy kurz wszędzie włazi!

BLOPP: Włączę wyciąg (*słychać lekki szum ekshaustora*). Ile nam wody zostało?

MILLS: Chcesz pić? Weź sobie colę. Jest w lodówce.

BLOPP:” Nie chcę pić. Chcę się wykapać.

MILLS: A ja wezmę tylko tusz. Wykapię się już w domu. Za trzysta osiem... nie, za trzysta osiemnaście godzin. A jak wyciągną nas z wody, zażądam piwa. Nic mi się tak nie chce jak piwa. Dlaczego nie można się tu napić piwa?

BLOPP: Dlatego, że Houston jest ostatnim miejscem na świecie, gdzie przetrwała jeszcze purytańska etyka. Nawet niskoprocentowe napoje alkoholowe wpływają szkodliwie na umysł ludzki.

MILLS: Przestań. Lepiej włącz radio. Za minutą mamy rozmowę z Houston. To już ostatnia.

(Efekty wzmocnienia fali nośnej. Daleki, nasilający się głos).

GŁOS: Halo. Tu Houston. Mówi Houston. Słyszycie mnie, chłopaki? Odbiór.

MILLS: Tu Mills z Księżycyca. Dobry (zaczyna kichać) wieczór. Psia kość! *(Kicha)*.

GŁOS: To ty kichasz, Mills? Przeziębłeś się? Zaraz dam ci doktora Frigarda. Hej, Tom, chodź tutaj. Ogłaszam katar na Księżycu.

MILLS *(przerywa mu)*: Wcale się nie przeziębilem. To tylko ten kurz. Próbki. Skończyliśmy właśnie ładowanie pojemników. Księżyc składa się głównie z kurzu i śmieci, nie wiesz?

GŁOS: W porządku. Wiecie, że mamy dziesięć minut do dyspozycji? Libracja wciągnie was w radiowy cień o dwudziestej pierwszej dwadzieścia siedem. Chcecie posłuchać ostatnich wiadomości? Mam tu dla was nagrany serwis wieczorny NBC z Waszyngtonu.

MILLS: Wiadomości? Możemy posłuchać, jeśli są dobre.

GŁOS *(śmiejąc się)*: Kawalarz z ciebie! Włączam wam teraz dziennik, a na trzy minuty przed fadingiem powiemy sobie ostatni raz „pa, pa”. Dobrze? Odbiór.

MILLS: Dobrze. Chyba że Blopp chce jeszcze coś powiedzieć.

BLOPP: Nie, u mnie wszystko w porządku. Dziękuję.

GŁOS: Puszczam wam taśmę... *(efekt włączania taśmy w Houston)*.

SPEAKER: Mówi Waszyngton. Nadajemy skrót ostatnich wiadomości. Nowy Jork. Alarm zarządzony w związku z anonimowym telefonem, że w schowku Grand Central Terminal znajduje się bomba atomowa z czasowym zapalnikiem, zakończył się szczęśliwie dziś w godzinach popołudniowych. Policja odnalazła bombę, która nie wybuchła. Eksperci twierdzą, że terrorystów oszukano, sprzedając im nie oczyszczony izotop uranu. W czasie paniki na szosach wylotowych zginęło trzynaście osób. Trzydzieści siedem odniosło rany. Lima. Sytuacja w Limie skomplikowała się. Generał Diaz nie objął władzy po zamachu stanu, jak podawaliśmy w dzienniku popołudniowym. Władzę objęli w jego imieniu porywacze, którzy zabarykadowali się w gmachu parlamentu biorąc za zakładników obie izby ustawodawcze. Izba niższa znajduje się podobno na sali obrad, a izba wyższa w piwnicach gmachu. Ponieważ generała Diaza popierała większość izby wyższej, w chwili obecnej nie wiadomo, czy generał Diaz jest rebeliantem uprowadzonym przez terrorystów, czy też legalnym szefem rządu. Waszyngton. Tej nocy został zniszczony prądem elektrycznym najnowszy komputer Bell Telephones Corporation. Podług nie sprawdzonych pogłosek komputer zniszczyli byli pracownicy firmy, którzy stracili pracę w związku z uruchomieniem tej nowej jednostki. Nieoficjalny rzecznik pracowników Bell Telephones, doktor

Buckmann, oświadczył jednak na konferencji prasowej, że ten komputer był zdolny sam zaprogramować sobie likwidację. Byłby to pierwszy przypadek samobójstwa komputera. O godzinie 22.00 nadamy wywiad z doktorem Buckmannem, który utrzymuje, że najnowsze komputery stanowią zagrożenie publiczne. Houston. Na kosmodromie dobiegły końca przygotowania do startu rakiety Saturn, którą polecą na Księżyc zmiennicy dwu uczonych amerykańskich, stanowiących obecnie załogę stacji księżycowej. (*Efekt wyłączenia taśmy*).

GŁOS: Halo, mówi Houston, to znowu ja. Zostało jeszcze trochę zgrzytów i napięć w różnych częściach świata. Mamy do dyspozycji cztery minuty. Czy chcecie dalej słuchać wiadomości, chłopcy, czy raczej porozmawiamy? Odbiór.

MILLS: Dziękujemy za wiadomości. To chyba kaczka dziennikarska z tym komputerem Bell Telephones! Nasz komputer sprawuje się w każdym razie przyzwoicie. Słuchaj, czy rzeczywiście procedura przedstartowa zakończona? Wszystko w porządku?

GŁOS: Wszystko gra. Możecie być spokojni. Tom i James przylecą was zmienić z dokładnością przedwojennej kolei (*śmieje się*). Czy nie żal wam będzie porzucić Księżyc i jego wspaniałe krajobrazy?

BLOPP: Owszem. Ale tu jest dosyć nudno. Niektórzy z nas uskarżają się na brak piwa.

GŁOS: To się ci niektórzy mylą, bo piwa nie da się u was pić. Niska grawitacja! Całe piwo zamienia się w pianę i wybiega...

MILLS (*zainteresowany*): Co ty mówisz? Próbowałeś?

GŁOS: To jest tajemnica państwowa. Chłopaki, dwie minuty do fadingu. Patrzą na oscyloskop i widzę, że wasza fala nośna już zaczyna słabnąć. Jeśli chcecie coś jeszcze przekazać, to mówcie prędko! Odbiór.

MILLS: U nas wszystko w normie. Przygotowujemy się do ostatniej nocy księżycowej.

GŁOS: Życzymy wam dobrej nocy księżycowej, odbiór!

MILLS: Do zobaczenia na Ziemi! A powiedzcie naszym na lotniskowcu, żeby przygotowali duży zapas piwa! Najlepiej duńskiego! Czekamy naszych zmienników! Koniec!

BLOPP: Już chyba nie usłyszeli.

MILLS: Myślisz?

BLOPP: Tak. Nie słyszysz? Ani śladu sygnału nośnego. Wzmocnię trochę... (*nasilające się trzaski statyczne*). To staruszka Ziemia tak trzeszczy. Zaraz przestanie, jak wejdziemy głębiej za horyzont... zresztą wyłączę, szkoda prądu. No i tak to jest. Na tym polega życie. Co robimy? Dziwnie nie jestem śpiący. Może partyjkę pokera?

MILLS: Dziękuję, nie. Zawsze wygrywasz.

BLOPP: Bo nie umiesz blefować. Ale wszystkiego można się nauczyć. Gramy?

MILLS: Nie chce mi się. Karty tak cholernie pomału padają na stół, że wszystko widać.

BLOPP: W pokerze? No to co? Chcesz może powiedzieć, że wykorzystuję w grze słabą grawitację?

MILLS: Skąd. Chcę powiedzieć, że należy się trzymać procedury. Pora na meldunek.

BLOPP: Szkoda, że z naszym komputerem nie można zagrać w pokera. To poważny błąd programu. Należy go w przyszłości naprawić (*włącza komputer*).

LUNAK: Uwaga. Mówi Lunak. Jest godzina 21.29 ziemskiego czasu Greenwich i pierwsza nocy księżycowej. Podaję informację bieżącą. Wskutek libracyjnego ruchu Księżyca stacja zaszła pod horyzont radiowy i przez 219 godzin będzie pozbawiona łączności z Ziemią. Temperatura na zewnątrz stacji spadła do -139 stopni. W ciągu ostatniej godziny zarejestrowałem trzy bardzo słabe dalekie upadki meteorów. Podaję odczyty stanów bieżących na stacji. Wody w zbiorniku głównym 2970 litrów. W zbiorniku sanitarnym 148 litrów. Temperatura plus 19 stopni Celsjusza. Zawartość tlenu 23%. Domieszki merkaptanu w normie — znikome.

BLOPP: Wyłącz go albo słuchaj sam. Idę się kąpać.

MILLS: Nie możesz wytrzymać jeszcze paru minut?

LUNAK: Pobór mocy wynosi 116 amperów. Rezerwa mocy wynosi 1570 amperogodzin.

BLOPP: Ja bym go wyłączył. Nie? No to go ściszę.

LUNAK (*cieńszym głosem*): Przypominam o konieczności oszczędzania wody i energii.

BLOPP: A ja się wykapię!

MILLS: Z kim się spierasz, z komputerem? Stałeś się drażliwy.

BLOPP: Nic tak nie uspokaja jak kąpiel. (*Odchodzi, gwizdząc fałszywie, efekt otwieranych drzwi łazienki, szum wody*).

LUNAK: Agregaty pomocnicze w pełnej sprawności. Za minutę podam stan rezerw tlenu na stacji.

(*Słychać śpiew Bloppa z łazienki*).

„John Browns baby got a cold
upon his chest and they rub him
with camphorated oil.

Glory, glory alleluja...”

LUNAK: Uwaga, mówi Lunak. Podaję ważne doniesienie. Podaję ważne doniesienie. (*W tle wciąż śpiew Bloppa, który pluska się w wannie*). Uwaga. Meldunek pozaproceduralny. Uwaga. Ogłaszam zagrożenie pierwszego stopnia. Uwaga. Ogłaszam zagrożenie

pierwszego stopnia i procedurę E jak Emergency jeden zero siedem.

MILLS: Co ty mówisz? Jakie zagrożenie? O co chodzi?

LUNAK: Uwaga. Ciśnienie tlenu w głównym zbiorniku spada w tempie przeciętnym 9 do 9,76 kilopondów na centymetr kwadratowy na minutę.

MILLS: Tlenu? Ciśnienie spada?!

LUNAK: Uwaga. Otwieram procedurę E jak Emergency jeden zero siedem. O godzinie 21.40 ciśnienie tlenu wynosiło w głównym zbiorniku 190 kp/cm². (*W tle Blopp śpiewa „An American boy in Paris fell for a lovely mademoiselle... ”*).

MILLS: Tlen ucieka? Na pewno? Którędy? Nieszczelność? Gdzie?

LUNAK: Uszczelnienia główne rurociągu A 27, centralny dławik wysokiego ciśnienia oraz uszczelki rozgałęzień widłowych B, D i H 18 są w normie. Ciśnienie tlenu w głównym zbiorniku spada dalej. Obecnie wynosi 103 kp/cm².

MILLS: Jak to w normie, jeżeli spada! Tego — — — natychmiast przepompuj tlen do zbiornika rezerwowego!

LUNAK: Zgodnie z pierwszym punktem procedury E jak Emergency jeden zero siedem przetłaczam tlen ze zbiornika głównego do rezerwowego. Ciśnienie w zbiorniku rezerwowym wynosi 89 kp/cm². Ciśnienie tlenu w zbiorniku głównym spada dalej. Obecnie wynosi ono 70 kp/cm².

MILLS: Tak gwałtownie leci! Co to jest — zbiornik pękł?!

LUNAK: Przyspieszony spadek ciśnienia w zbiorniku głównym wywołany został częściowo przetłaczaniem tlenu do zbiornika rezerwowego. Czujniki nie wykazują odchylenia od normy. Ciśnienie tlenu w zbiorniku głównym wynosi teraz 66 kp/cm² i spada dalej.

MILLS: Którędy ucieka ten tlen? Którędy ucieka? Odpowiadaj!

LUNAK: Dane są niedostateczne. Uwaga. Zbiornik rezerwowo został napełniony tlenem do maksimum. Ciśnienie w zbiorniku rezerwowym wynosi 90 kp/cm². Ciśnienie w zbiorniku głównym spada dalej. Wynosi obecnie 57 kp/cm².

MILLS: Dalej leci w takim tempie?! Dziura musi być! Ale gdzie? Jeżeli dławiki trzymają, to zawory redukcyjne. Zawory! Dlaczego nie odpowiadasz?,

LUNAK: Indykator wskazuje pełną hermetyzację reduktora i zaworów redukcyjnych. Mufy na rozwidleniach nie dają powiewu. Ciśnienie w zbiorniku głównym spada dalej. Obecnie wynosi 50 kp/cm².

MILLS: A ile jest w rezerwowym?

LUNAK: Ciśnienie w zbiorniku rezerwowym bez zmian. Wynosi 90 kp/cm². (*Blopp śpiewa „It is a lovely day today... ”*).

MILLS: Śpiewaj, śpiewaj! Lunak!! Na ile godzin wystarczy nam tlenu z rezerwy?

LUNAK: Przy oszczędnym zużyciu podług procedury nadzwyczajnej E jak Emergency pojemność zbiornika rezerwowego wystarczy dla jednego człowieka na 280 godzin.

MILLS: Mało! Do diabła, mało! Dopompuj tam tlenu, nim ucieknie do reszty. Ciągnij z głównego zbiornika, ile się da!

LUNAK: Zbiornik rezerwowy jest obliczony na maksymalne ciśnienie 85 kp/cm². Zgodnie z procedurą E jak Emergency jeden zero siedem przekroczyłem dopuszczalne ciśnienie w zbiorniku rezerwowym o 5 kp/cm², aby do maksimum powiększyć rezerwę tlenu. Dalszy wzrost ciśnienia może grozić rozsadzeniem zbiornika. Uwaga. Meldunek bieżący w ramach procedury E jak Emergency jeden zero siedem. Ciśnienie w zbiorniku głównym spada. Wynosi obecnie 41 kp/cm².

MILLS: Wciąż ucieka...? Mocny Boże... dlaczego nic nie robisz? Którędy ucieka?

LUNAK: Dane są niedostateczne. Uwaga. Włączam obecnie instrukcję ratowniczą procedury E jak Emergency jeden zero siedem. Ustęp „Ucieczka tlenu i zagrożenie asfiksją”. Ciśnienie tlenu w zbiorniku głównym spada z nie ustalonej przyczyny. Obecnie wynosi ono 32 kp/cm². Przy założeniu stałego wycieku, ciśnienie dojdzie w zbiorniku głównym do zera za 9 do 10 minut. Powtarzam, przy założeniu stałego wycieku ciśnienie dojdzie w zbiorniku głównym do zera za 9 do 10 minut. Indykatory A, B, D i grupy H 26 w normie. Uszczelki zasilania na obwodach rurociągów stacji przed reduktorem i za reduktorem w normie. Reduktor i dławiki zaworów redukcyjnych w normie.

MILLS: Wszystko w normie, tylko tlen ucieka! (*Z hamowaną wściekłością*). Tak?

LUNAK: Tak jest. Ponieważ układy wskaźnikowe kontrolują tylko wolne części zbiornika i przewodów zasilania, zachodzi możliwość podana w programie głównym awarii, ustęp 8, podstęp 12, paragraf 04, że pękł denny pancerz zbiornika tlenowego w miejscu, w którym zbiornik bezpośrednio spoczywa na macierzystej skale Księżyca w betonowej osadzie. Prawdopodobieństwo pęknięcia dennego pancerza zbiornika tlenu ustala program awarii w paragrafie 05 na jedną szansę do czterystu miliardów. Uwaga. Podaję meldunek bieżący w ramach instrukcji ratowniczej procedury E jak Emergency jeden zero siedem. Ciśnienie tlenu w zbiorniku głównym spada teraz wolniej, ponieważ tlen uchodzi pod malejącym ciśnieniem własnym. Ciśnienie to wynosi 28 kp/cm².

MILLS: To jest instrukcja ratownicza? Raczej nekrolog! Nie można już zwiększyć ciśnienia w zbiorniku rezerwowym?

LUNAK: Wzrost ciśnienia w zbiorniku rezerwowym o każdy pojedynczy kilopond na centymetr kwadratowy zwiększa szansę rozerwania zbiornika w eksponencie z

wykładnikiem potęgowym trzy.

BLOPP (*śpiewa*): „It is a lovely day today...”

MILLS: Co jest z tą instrukcją ratowniczą?! Lunak!

LUNAK: Uwaga, mówi Lunak, z włączoną instrukcją ratowniczą procedury E jak Emergency jeden zero siedem. Punkt zero jeden instrukcji. Z uwagi na to, iż organizm ludzki zużywa najmniej tlenu w całkowitym spoczynku, zaleca się wszystkim ludziom obecnym na stacji, aby położyli się niezwłocznie na wznak, rozluźniając mięśnie, aby oddychali miarowo, z częstością nie większą niż 14 razy na minutę, oraz aby myśleli przy tym o rzeczach pogodnych, a co najmniej obojętnych, ponieważ wszelkie podniecenie umysłowe zwiększa przemianę podstawową i tym samym zużycie tlenu.

MILLS: O pogodnych rzeczach, co? Słuchaj! Wepchnij choć ze dwieście funtów tlenu więcej do zbiornika rezerwowego. Rozkazuję ci zrobić to natychmiast! Włącz sprężarkę! Słyszysz!

LUNAK: Nie mogę wykonać tego rozkazu, gdyż podlegam ograniczeniom programu E jak Emergency jeden zero siedem. Zgodnie z instrukcją ratowniczą mogę podać miejsce, w którym znajduje się szpula programu ograniczającego. Można mnie ponadto wyłączyć w całości z kontroli urządzeń stacyjnych i działać z własnym rozeznaniem, na własną odpowiedzialność. Nie doradzam jednak takiego postępowania, ponieważ parametry ucieczki tlenu wskazują, że tlen ujdzie w całości ze zbiornika głównego szybciej, aniżeli będzie można wyłączyć nazwane ograniczenia.

MILLS: No, to jest przynajmniej jasne. (*Ryczy; nagle z całych sił*). Blopp!! Bloopp!!!!

BLOPP (*przez uchylone drzwi łazienki*): Czego się tak drzesz? Chcesz się tuszować? Zaraz wyjdę.

MILLS: Nie chcę się tuszować. Chcę żyć. (*Efekt trząśnięcia drzwiami, bosych biegnących kroków, zbliżającego się głosu Bloppa*).

BLOPP: Coś ty? Jak ty wyglądasz? Co ci jest?

MILLS: Obaj wyglądamy tak samo. Ucieczka tlenu. Cały tlen uciekł nam ze zbiornika.

BLOPP: Cały tlen? Co za głupie kawały — —

MILLS: Nie wierzysz? To słuchaj (*włącza komputer*).

LUNAK: Uwaga. Mówi Lunak. Instrukcja ratownicza procedury E jak Emergency jeden zero siedem włączona. Na stacji ogłoszony został alarm wysokiego zagrożenia. Ciśnienie tlenu w zbiorniku głównym wynosi obecnie 8 kp/cm². Ciśnienie w zbiorniku głównym spada nadal, lecz coraz wolniej. Podług wskazań manometrycznych główny zbiornik przecieka. Miejsce przecieku nie zostało ustalone ze względu na niedostateczność

danych. Zbiornik pękł prawdopodobnie w dennej części pancerza. Główny program awarii ocenia takie pęknięcie jako jedną szansę na czterysta miliardów. Uwaga. W ramach procedury E jak Emergency, przed kontynuacją instrukcji ratowniczej, podaje odczyty indykatorów na stacji. Na rurociągach reduktora wszystkie dławiki w normie. Na rozwidleniach rurociągu oraz na mufach wszystkie uszczelki w normie...

BLOPP: Wyłącz to głędzenie! Musimy się zastanowić, co zrobić!

(Efekt wyłączenia, komputer milknie w pół słowa).

BLOPP: Nie zebrałem jeszcze myśli. Tlenu w głównym nie ma — ale rezerwa jest?

MILLS: Jest. Podług komputera wystarczy tlenu na 140 godzin.

BLOPP: Na 140 godzin?! A... a dla dwóch ludzi?

MILLS: Jasne. Dla dwóch. Można sprawdzić. *(Włącza komputer).* Lunak! Na jak długo, a, y, tlenu?

LUNAK: Mówi Lunak. Tlenu zbiornika rezerwowego starczy na 140 godzin dla dwu przy minimalnym zużyciu zgodnie z postępowaniem najwyższej oszczędności, a dla jednego człowieka na 280 godzin. Kontynuuję instrukcję ratowniczą procedury E jak Emergency jeden zero siedem. Ponieważ organizm ludzki zużywa najmniej tlenu w stanie całkowitego spoczynku, zaleca się wszystkim ludziom przebywającym na stacji, aby niezwłocznie położyli się na wznak, aby rozluźnili mięśnie, aby oddychali miarowo z częstością 14 razy na minutę oraz aby myśleli o rzeczach pogodnych *(efekt wyłączenia)*.

BLOPP: No, to myślmY o pogodnych rzeczach! 140 godzin, co? A rakieta przyleci za 280 godzin. *(Cicho).* Nie dociągniemy. MILLS: Tak to wygląda.

BLOPP: Jak to się stało? Tak nagle — —

MILLS: Nie wiem. On też nic nie wie. „Dane niedostateczne”. Znasz tę piosenkę, nie? Zdaje się, puścił denny pancerz. Zmęczenie materiału albo... zresztą to nieważne teraz.

MILLS: To, tego, kładziemy się, tak? Na wznak i mięśnie trzeba rozluźnić.

BLOPP: Po co? Przy największej oszczędności tlenu jest na 140 godzin, a rakieta przyleci 140 godzin później! Zamiast udusić się, leżąc i myśląc o przyjemnych rzeczach, lepiej poszukać jakiegoś wyjścia!

MILLS: Naradzić się możemy. Zapewne. Ale włóż coś na siebie.

BLOPP: Co? Och! Zapomniałem, że stoję goły... czekaj, tylko coś narzucę... najważniejsza rzecz teraz to zachowanie zimnej krwi *(efekt dartego płótna)*.

MILLS: Uważaj! Koszulę wciągasz na nogi!

BLOPP: Diabli! Lubiłem tę koszulę... *(prychnął głupawym śmiechem, ale wesołość natychmiast mu przeszła)*. No, więc jestem gotów...

MILLS: Możesz robić, jak uważasz. Ja się w każdym razie kładę. Leżąc też można rozmawiać. A instrukcje są po to, żeby się ich trzymać.

LUNAK: Uwaga. Podaję meldunek specjalny w ramach procedury E jak Emergency jeden zero siedem. Ciśnienie tlenu w zbiorniku głównym spadło poniżej 4 kp/cm². Ponieważ ciśnienie to jest niedostateczne dla zasilania stacji, przełączam zasilanie stacji w tlen na zbiornik rezerwowy. *(Efekt: lekkie syczenie, potem cisza)*. Uwaga. Kontynuuję instrukcją ratowniczą procedury E jak Emergency jeden zero siedem. Przez cały czas trwania stanu, wysokiego zagrożenia nie zaleca się spożywania pokarmów. Zwłaszcza białkowych jako wysokokalorycznych, ponieważ trawienie ich zwiększając przemianę podstawową, zwiększa tym samym zużycie tlenu.

(Efekt wyłączenia komputera).

MILLS *(leżąc)*: Dlaczego wyłączyłeś?

BLOPP: Słuchaj! Z Houston trzeba się połączyć! Niech przyspieszą start rakiety!

MILLS: Zapominasz, że nie mamy łączności!

BLOPP: Do diabła *(włącza komputer)*. Lunak, kiedy będziemy mieli łączność z Houston?

LUNAK: Mówi Lunak. Stacja znajduje się obecnie w cieniu radiowym pod horyzontem Księżycy na skutek ruchu libracyjnego. Czas trwania ciszy radiowej wynosić będzie 218 godzin od chwili obecnej. Kontynuuję instrukcję ratowniczą procedury E jak Emer...
(efekt wyłączenia w pół słowa).

BLOPP: Za dużo. Zresztą wtedy i tak już... to jak będzie? Hm?

MILLS: Połóż się.

BLOPP: Na wieczne odpoczywanie? Zawsze jeszcze zdążę. Jasny gwint, przecież na stacji muszą być butelki tlenowe skafandrów! Gdzie one są?

MILLS: Zostały tylko dwie. W każdej po osiem funtów tlenu.

BLOPP: Ale te puste! Puste można było naładować tlenem, zanim uciekł ze zbiornika, a ty zamiast to zrobić...

MILLS: Uspokój się. Sam wyrzuciłeś wczoraj wszystkie puste butelki koło tego stożka pod Toricellim. *(Milczenie)*.

BLOPP: A ja jednak spróbuję wywołać Houston. Co? Jak myślisz?

MILLS: Przecież jest pod horyzontem radiowym. Szkoda fatygi.

BLOPP: Spróbować nie zaszkodzi (efekty włączania radia). Halo, Houston. Halo, Houston. Odezwiście się! Mówi Księżyc. Mamy poważny kłopot. Houston, słyszycie nas? Houston, znajdujemy się w śmiertelnym zagrożeniu, uciekł nam tlen! Houston! Do diabła...

MILLS: Przestań się ciskać. Połóż się lepiej i nie ruszaj.

BLOPP: Powiedzmy, że się położę. Co to da?

MILLS: To zwiększa nasze szansę.

BLOPP: Tak uważasz? Można wiedzieć dlaczego?

MILLS: Rakieta może przylecieć wcześniej.

BLOPP: Sam w to nie wierzysz. Wiesz co?

MILLS: Słucham.

BLOPP: Coś moglibyśmy jednak zrobić. Nie mówię, żeby natychmiast. Ale trzeba rozważyć wszystkie ewentualności.

MILLS: Co masz na myśli? *(Domyślił się nagle)*. A!

BLOPP: Właśnie.

MILLS: Na mnie nie licz. Mam żonę i dzieci.

BLOPP: Nie namawiam cię do niczego. Ale moglibyśmy obaj...

MILLS: Jak to obaj?

BLOPP: Jest taki sposób. Stary i wypróbowany.

MILLS: Losowanie?

BLOPP: Powiedzmy.

MILLS: Chodzi nie tylko o rodzinę. To jest sprzeczne z moimi przekonaniami. Człowiek nie ma prawa zrobić tego sam.

BLOPP: Pan Bóg ci zabrania?

MILLS: To nie jest właściwa sytuacja do natrząsania się z czyjejs wiary.

BLOPP: Wcale się nie natrząsam. Wiara nakazuje miłość bliźniego...

MILLS: Ale ty przecież nie wierzysz.

BLOPP: Ale ty za to wierzysz.

MILLS: Przestań. To cyniczne. I głupie.

(Słychać, jak jeden wstaje i zaczyna chodzić).

MILLS: Czemu wstałeś? Przestań tak chodzić. Słyszysz? Zużywasz więcej tlenu.

BLOPP: Co z tego? I tak nie wystarczy.

MILLS: Zużywasz mój tlen.

BLOPP: W jaki sposób?

MILLS: W taki, że ja leżę zgodnie z instrukcją, a ty się wylamujesz. Zużywam mniej, a ty więcej, tymczasem powinniśmy po równo.

BLOPP: Proponuję jakiś szlachetniejszy temat. Lepiej dostosowany do okoliczności. Może by spisać ostatnią wolę?

MILLS: To niepotrzebne. Każde słowo, które mówiliśmy, jest przecież rejestrowane na taśmie.

BLOPP: Ciekawe, gdzie jest ta taśma? Nigdy się tym nie interesowałem! Lunak!

LUNAK: Mówi Lunak. Słucham.

BLOPP: To ty rejestrujesz wszystkie rozmowy?

LUNAK: Nie. W sekcji VII mojej obudowy znajduje się opieczętowana kasetka ze szklaną pokrywą, zawierająca magnetofon, kasety oraz wymiennik kaset i niezależne źródło zasilania. Zapis jest niewymazywalny. Przy każdej zmianie obsady stacji zapis zostaje przewieziony na Ziemię i przesłuchany w Houston.

BLOPP: W Houston?

LUNAK: Tak jest. W Houston.

BLOPP: Magnetofon ma niezależne zasilanie? Dlaczego?

LUNAK: Magnetofon jest zasilany prądem własnego mikrostopu atomowego zamkniętego w pancerzu dlatego, żeby zapis mógł przetrwać katastrofę na stacji, a także, aby zapis nie był zależny od napięcia w elektrycznej sieci stacji.

BLOPP: Rozumiem. Ktoś mógłby zrobić krótkie spięcie i magnetofon by stanął. O wszystkim pomyślano! Ta pokrywa, to chyba nie jest zwyczajne szkło. Co?

LUNAK: Pokrywa magnetofonu jest sporządzona z wysokoodpornego szkła pancernego. Uwaga. Mówi Lunak. Kontynuuję instrukcję ratowniczą procedury E jak Emer— (*efekt wyłączenia*).

MILLS: Co ty — bawisz się, czy co? Zostaw to urządzenie w spokoju. Czy nie słyszałeś, co powiedział komputer? Nie dobierzesz się do środka. Najwyżej połamiesz sobie paznokcie!

BLOPP: Nie połamię sobie paznokci, bo niczego nie dotykam. (*Odgłosy jakby drapania czy pukania w szkło, niezbyt silne*).

MILLS: Zostaw natychmiast ten magnetofon i połóż się tu! Słyszysz?

BLOPP: Nie chce mi się leżeć. A poza tym proszę, żebyś panował nad sobą. Stajesz się agresywny.

MILLS: Ja?

BLOPP: Tak. Ty. Ale mniejsza o to. Jeżeli drażni cię szczególnie to, że patrzyłem na magnetofon, już tego więcej nie zrobię. Zadowolony, jesteś?

MILLS: Najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli zasnąć. We śnie zużywa się mniej tlenu.

BLOPP: Potrafiłbyś zasnąć? Podziwiam cię.

MILLS: Można wziąć środek nasenny.

BLOPP: Tak myślisz? *(Po chwili)*. No dobrze.

Zróbmy tak, Gdzie jest? W apteczce?

MILLS: Tak. *(Odgłosy)*. Co tam robisz?

BLOPP: To, co powiedziałaś. *(Odgłos nalewania wody do szklanki)*. Jest. To Seconal
(potrząsa słoikiem z tabletkami).

MILLS: Zostaw ten słoiki Sam wezmę sobie tabletkę. *(Słysząc, że i on wstał)*.

BLOPP: Masz. Ja już wziąłem. O co chodzi? Czemu tak patrzysz?

MILLS: Włóż swoją tabletkę do ust, to i ja włożę;

BLOPP: Proszę bardzo *(zaczyna mówić trochę niewyraźnie, jakby miał na języku tabletkę)*;
Czemu nie łykasz?

MILLS: Pierwej należy rozgryźć?

BLOPP: Ale i ty nie gryziesz...

MILLS: Połknijmy na raz, dwa, trzy. Dobrze?"

BLOPP: Dziwaczny pomysł. Ale proszę, jeżeli ci na tym zależy. Raz, dwa, trzy!

MILLS: Nie połknąłeś wcale!

BLOPP: Dlatego, że i ty nie połknąłeś..?

MILLS: Nie ufam ci.

BLOPP: Trudno, żebym ja tobie ufał.

MILLS: Dlaczego?

BLOPP: Bo udajesz świętoszka. Położyłeś się ostentacyjnie, podkreślając, że zachowujesz się
zgodnie z instrukcją, a ja nie, a potem zrobiłeś na mnie donos!

MILLS: Jaki donos? Co ty opowiadasz?

BLOPP: Donos do ośrodka lotów, w Houston. Nie jestem ani głuchy, ani głupi, mój kochany.
Nawet nie dotknąłem pokrywy magnetofonu, a ty mówiłeś, że usiłuję dobrać się do
środka. Mało tego! Kiedy odpowiedziałem, że ani jej dotykam, zaczęłaś czymś skrobać
za moimi plecami. Ten odgłos został nagrany. Zrobiłeś to rozmyślnie! Chciałeś rzucić na
mnie podejrzenie, że usiłowałem otworzyć magnetofon...

MILLS: Bo usiłowałeś!

BLOPP: Ekspertyza to wykaze. Dźwięk idący z dala rejestruje się inaczej niż zupełnie bliski.
Stałem przy komputerze, a ty leżałaś — i drapałaś po czymś paznokciami...

MILLS: Słuchaj — coś ci się przywidziało. Może był jakiś przypadkowy chrobot, ale go nie
zauważyłem. Proszę, żebyś przestał mówić do mnie w ten sposób. Znamy się nie od
dziś. Jesteś impulsywny, ale bez względu na to, jak się zakończy ta historia, zwracam się
do lepszej strony twojej natury. Zastanów się. Byłoby rzeczą ohydną, gdyby tu miało

zająć coś... sprzecznego z naszą solidarnością.

BLOPP: Do czego zmierzasz? Każdy z nas ma lepszą i gorszą stronę swej natury. Ty też nie jesteś święty.

MILLS: Toteż wcale tego nie twierdzę. Chcę po prostu zaproponować, żebyśmy się zachowali tak, jak tego wymaga sytuacja. Godziwie i racjonalnie.

BLOPP: Więc zmieniłeś zdanie?

MILLS: Nie rozumiem.

BLOPP: Chcesz losować?

MILLS: Nie. I proszę, żebyś przestał o tym mówić!

BLOPP: Nie unosź się. Spytałem, ponieważ sam powiedziałeś, że powinniśmy się zachować racjonalnie...

MILLS: I godziwie! Nie uda ci się zeskamontować ani jednego słowa! Mamy świadka, tu!
(Puka w szklaną pokrywę magnetofonu).

BLOPP: Niepotrzebnie tak się podniecasz. O jedno słowo?... Przepraszam, jeśli źle cię zrozumiałem. Teraz ja powiem: połóżmy się. Jeżeli mi nie ufasz, połóż się z tej strony, w ten sposób będziesz mógł mnie widzieć... chociaż ode mnie na pewno nic ci nie zagraża! Co ci jest? Jesteś na przemian biały i czerwony... chcesz się napić wody? Ręce ci drżą — uważaj, wypuścisz szklankę! (Odgłos padającej i rozbijającej się szklanki).

MILLS: Kłamco! To ty rozbiłeś szklankę!

BLOPP; W jaki sposób? Stojąc o trzy kroki od ciebie, gdy ją trzymałeś?

MILLS: Ty rozbiłeś! Umyślnie wzięłeś i rzuciłeś na ziemię, ponieważ dźwięk jest rejestrowany, ale obraz nie! Chciałeś mnie oskarżyć, ale ci się nie udało!

BLOPP: Oskarżyć? O co, na miłość boską? O wypuszczenie szklanki? Też mi zbrodnia! A... rozumiem! Po raz drugi zastawiłeś na mnie pułapkę! Najpierw, wysoka komisjo, Blopp dobierał się do magnetofonu, ale mu się nie udało. Wtedy rozbił szklankę, a mówił, że to Mills ją upuścił, bo ręce mu się trzęsły. Ten podstępny; Blopp! Więc gdyby coś się stało Bloppowi, to znaczy, że doktor Mills musiał działać w obronie koniecznej... Jeśli dalej będziesz postępował w ten sposób, apelując do lepszej strony mojej natury i równocześnie robiąc takie świństwa, to zabarykaduję się w mojej kabinie od środka. Rozumiesz?

MILLS: Doskonale rozumiem. Chcesz zrobić ze mnie pomyłonego — paranoika — ale ci się nie udało!

BLOPP: Dlaczego miałbym robić z ciebie wariata? Co może mi z tego przyjść?

MILLS: Sam dobrze wiesz.

BLOPP: Nie. Właśnie, że nie wiem. Powiedzmy, że się nawet zachowujesz niepoczytalnie...

MILLS: Zachowuję się zupełnie normalnie. To znaczy — uczciwie.

BLOPP: Dobrze. Zachowujesz się zupełnie normalnie. Jeśli chcesz, mogę to nawet dziesięć razy powtórzyć. Doktor Mills zachowuje się zupełnie normalnie, normalnie, normalnie, normalnie, normalnie, normalnie. Zadowolilem cię? Ja powiedziałem tylko: dajmy na to, że zachowujesz się niepoczytalnie i że to zostanie zarejestrowane. Co mi z tego przyjdzie?

MILLS: Koniecznie chcesz, żebym powiedział?

BLOPP: Ależ tak. Proszę cię o to.

MILLS: Dobrze. Co masz tam w kieszeni?

BLOPP: W której? W tej mam chusteczkę do nosa, kluczyki samochodowe i czujnik. W drugiej mam żeton do automatu i notes. To wszystko, sam widzisz.

MILLS: Masz tam jeszcze coś. Coś ciężkiego, co obciąża ci kieszeń. Nóż składany, nieprawdaż?

BLOPP: To ty masz nóż składany, a nie ja. Sam mi go pokazałeś w bazie. Ze dał ci go twój syn na dzień przed startem. Jest na nim twój monogram. Trzymasz go w kieszeni, a teraz usiłujesz to przedstawić tak, jakbym ja go miał?

MILLS: Bo ty go masz. Wziąłeś, żeby otworzyć flaszkę coli. Można nim otwierać butelki. Leżał na stoliku przy mikroskopie i wziąłeś go.

BLOPP: Ja wziąłem twój nóż?

MILLS: Tak. Sam widziałem. Człowiek, który ma wprawę w używaniu mikroskopu, nie musi wcale zamykać drugiego oka. Patrzyłem w preparat, ale widziałem drugim okiem, jak brałeś nóż.

BLOPP: Kiedy?

m MILLS: To było dziś w południe. Koło obiadu. Nie udawaj, że nie pamiętasz.

BLOPP: Ciekawym, po co mi był twój nóż, skoro w lodówce na górnej półce leży uniwersalny otwieracz konserw.

MILLS: Nieprawda. Nie leży i nie pozwolę ci, żebyś go tam teraz podrzucił!

BLOPP: To za grubo szyte, mój kochany. Jeżeli mogę podrzucić otwieracz butelek do lodówki, to znaczy, że wiem, gdzie on jest. Jeżeli wiem, gdzie on jest, to po diabła był mi twój nóż?

MILLS: Ale ty go masz. Widzę, jak wypycha ci kieszeń.

BLOPP: A ja widzę, jak wsiadasz do czołgu. Są tylko dwie możliwości. Albo halucynujesz, albo kłamiesz, bo nie miałem żadnego noża i dalej nie mam. Gdybym go chciał wziąć,

to—bym cię najpierw spytał i byłoby to utrwalone na taśmie. A przecież nie mogłem rano wiedzieć, że wieczorem ucieknie nam tlen. Nie jestem jasnowidzem. Nie miałem powodu skradać się, kiedy patrzyłeś w mikroskop, żeby wziąć twój nóż. Widzisz, ile jest warte twoje rozumowanie? Zrób sobie zimny okład na głowę.

MILLS: Co za perfidia! I pomyśleć, że miałem cię za porządnego człowieka. Ale przestrzegano mnie przed tobą. Już dawno, jeszcze w bazie. Szybko zrobiłeś karierę. Szedłeś po trupach.

BLOPP: To się nazywa manewr odwracający uwagę. Moją karierę zostawmy w spokoju. Stosujesz wciąż ten sam schemat insynuacji. Najpierw był magnetofon, potem szklanka, a teraz nóż. Nie wiem, czy masz urojenia prześladowcze, ale tak czy owak stałeś się niebezpieczny. Właściwie powinienem cię związać.

MILLS: Nie zbliżaj się do mnie. Słyszysz!!

BLOPP: Nie zbliżę się do ciebie, nawet gdybyś sam tego żądał. Nie ma głupich. Byłby to gambit.

MILLS: Jaki gambit? To ty mówisz od rzeczy.

BLOPP: W każdej chwili możesz przecież wszystko odwrócić, tak jak to zrobiłeś dotąd. Najpierw wykorzystałeś to, że patrzyłem na magnetofon. Potem, gdy szklanka wypadła ci z rąk, wykorzystałeś to przeciwko mnie, wołając, że ja ją rozbiłem. Następny był nóż, twój nóż z twoim monogramem. Więc, oczywiście gdybyś chciał, żebym podszedł do ciebie, wszystko jedno pod jakim pozorem, to byłaby pułapka. Powiedzieć ci, co i jak to sobie obmyśliłeś? Krzycząc, że rzucam się na ciebie, wyciągnąłbyś nóż, żeby mnie przebić. Taśma w Houston powtórzyłaby twój krzyk i powiedziałabyś, że udało ci się wyrwać mi nóż. Że działałeś w obronie koniecznej! Po to opłatywałeś mnie przedtem podejrzeniami. Cały łańcuch poszlak! Ale rozerwałem go. Nic mi nie zrobisz!

MILLS: Co za nikczemne brednie! Przecież to ty powiedziałeś przed chwilą, że chcesz mnie związać!

BLOPP: Nie powiedziałem, że chcę. Powiedziałem, że powinienem, bo jesteś niebezpieczny. Wykorzystałeś to momentalnie, wołając, żebym się nie zbliżał do ciebie. A ja nie ruszyłem się nawet z miejsca. (*Lekki trzask*).

MILLS: Blopp otworzył nóż!

BLOPP: To ty go otwarłeś. Wyjąłeś z kieszeni i otwarłeś. Nie doceniasz nowoczesnej techniki zapisu. Ekspertyza stwierdzi, z której strony rozległ się trzask otwieranego noża — z mojej czy z twojej! (Głosy ich dają poznać, że obaj są w ruchu — widocznie patrząc ku sobie, okrążają pomieszczenie, jak wzajemnie śledzący się zapaśnicy na ringu).

MILLS: Nie zbliżaj się do mnie! Stój w miejscu!

BLOPP: Nie mogę stać w miejscu, kiedy idziesz na mnie z nożem. Muszę się cofać!

MILLS: To ja muszę się cofać, kłamco!

BLOPP: Mills nie jest głupi. Zrozumiał, że zdemaskował się, otwierając nóż, bo to trzaśnięcie przyszło z jego strony. Dlatego poszedł na mnie, a ja muszę się cofać. W ten sposób Mills usiłuje uniemożliwić ustalenie wyjściowej sytuacji. Wykonaliśmy pełne okrążenie.

MILLS: Kłamiesz! Pół okrążenia!

BLOPP: Wciąż ta sama taktyka. Mills ma nóż, a ja jestem bezbronny. Dlatego wezmę ze stołu młotek geologiczny (*lekkie szurnięcie*). I co teraz wymyślisz?

MILLS: Na stole nie było żadnego młotka!

BLOPP: Proszę. Nie było młotka. Więc co wziąłem ze stołu?

MILLS: Nic! Uderzyłeś w blat palcami! Szykujesz jakieś nowe łotrostwo!

BLOPP: Ty masz nóż, a ja młotek. Twoja przewaga zmniejszyła się. Wobec tego proponuję— och! (*Metaliczny łomot*). Mills rzucił we mnie butelką tlenową!

MILLS: Kłamiesz! Leżała i kopnąłeś ją!

BLOPP: Mills, zostaw tę drugą butelę w spokoju!

MILLS: Podniosłem ją. Wziąłem ją, bo muszę się czymś bronić!

BLOPP: Wobec tego ja też muszę. (*Lekki dźwięk: Kroki, oddechy, okrzyk, łomot przewracającego się stolika*).

MILLS i BLOPP (jednocześnie): Mills zaatakował mnie! Blopp mnie zaatakował! (*Cisza*).

BLOPP: Po raz ostatni usiłuję wprowadzić szczyptę rozsądku w to szaleństwo. Jeżeli będziemy dalej postępować jak dotąd, zginiemy obaj. Szachujemy się nawzajem. Ja jestem wprawdzie młodszy i silniejszy, ale, gdy osłabiesz, zamkniesz się od środka w swojej kabinie i zabarykadujesz drzwi. Oczywiście zrobiłbym to samo, gdybym osłabł pierwszy. Spróbuj myśleć logicznie. Jeżeli się zabarykadujesz w kabinie, na pewno nie ci nie będzie groziło ode mnie, po prostu udusisz się wnet z braku tlenu, a ja tak samo. Udusimy się obaj, a przed śmiercią zadrzemy się do upadłego. Chyba ci na tym specjalnie nie zależy?

MILLS: Więc czego chcesz?

BLOPP: Tego samego co na początku.

MILLS: Żebyśmy losowali?

BLOPP: Tak.

MILLS: Nie wierzę, żeby to była uczciwa propozycja. To twój nowy trik!

BLOPP: Zdaje się., że jedyną moją propozycją, którą uznałbyś za uczciwą, jest taka, żebym się powiesił na twoich oczach, co? Na to nie licz. Mówię ci: losujmy!

MILLS: No cóż... powiedz, jak to sobie wyobrażasz...

BLOPP: Będziemy losowali. Ten kto przegra, pójdzie do swojej kabiny i zażyje truciznę. W pojemniku z odczynnikami chemicznymi jest cyjanek potasu. Ten kto przegra zamknie się od środka przed zażyciem trucizny, żeby podejrzenie nie mogło paść na tego, kto pozostanie przy życiu. Co ty na to?

MILLS: Dobrze. Postawiłeś na swoim. Losujemy.

BLOPP: Mam w kieszeni dolarową monetę. Dla mnie orzeł, dla ciebie reszka. Orzeł przegrywa, reszka wygrywa. Kiedy moneta upadnie, obaj powiemy, którą stroną upadła do góry. Zgoda?

MILLS: Zgoda.

BLOPP: Uwaga, rzucam! (*Dźwięk monety*). Reszka! Reszka!

MILLS: Orzeł! Orzeł!

BLOPP: Reszka! Kłamiesz, reszka!

MILLS: To ty kłamiesz! Orzeł! (*Chwila milczenia*).

BLOPP: To jest impas. Właściwie mogłem się tego po tobie spodziewać. Ale nie wszystko stracone. Musimy zdać się na kogoś trzeciego.

MILLS: Przecież tu nikogo nie ma.

BLOPP: Owszem, jest. Komputer. Włączymy go, żeby podał meldunek. Jeśli dziesiąte słowo, które powie, będzie miało parzystą liczbę sylab, to ty wygrasz, a jeśli nieparzystą, to ja. Zgadzasz się?,

MILLS: Zgoda. To, co mówi komputer, nie zależy od żadnego z nas i nie można tego przewidzieć. Ale trzeba go włączyć tak, żeby mówił powoli, a my będziemy razem liczyć słowa do dziesięciu.

BLOPP: Dobrze. Nie ma na co czekać. I tak zmarnowało się już dosyć tlenu! Przygotuj się do liczenia. Uwaga! Włączam komputer! Już!

LUNAK: Procedura E jak Emergency, punkt drugi instrukcji ratowniczej, przewiduje w nadzwyczajnym zagrożeniu asfiksją, środki nadzwyczajnej oszczędności zużycia tlenu. (*Komputer będzie mówił odtąd przez cały czas aż do końca, nieco wolniej niż normalnie. Mills i Blopp liczyli półgłosem „raz, dwa, trzy” itd, wypowiedane przezeń słowa. Dziesiątym wyrazem jest „w” i na tym tle — czy to jest jednosylabowe słowo, czy nie — powstanie między nimi spór*).

BLOPP: Dziesięć. Nieparzysta! „W” było dziesiątym słowem!

MILLS: „W” nie liczy się! To nie jest słowo ani sylaba! Dziesiąte słowo było „nadmierzającym”, cztery sylaby, parzyste! Ja wygrałem!

BLOPP: Oo! To oszustwo już ci się nie uda! Warunki zostały ustalone i zarejestrowane na taśmie! Nie było mowy o żadnych wyjątkach! „W” jest słowem! Ja wygrałem!

MILLS: Nieprawda, ja!

BLOPP: Idź po cyjanek! Ale już!

MILLS: Ty sam idź! Nie popychaj mnie! Nigdzie nie pójde! Precz! Jak śmiesz! *(Łomot i krzyki. Obaj zaczęli walczyć. Tarzają się po podłodze. Słychać odgłosy razów, przewracających się sprzętów, stękania, charczenia „Mills puść!!”, „Blopp... nie duś... a! nóż rzuć to! Mills! Och! Nie! Nie!! Blopp mnie dławi... nie zabijaj mnie...” Odgłos razów najpierw się nasila, jakby nosząc się po całej stacji, mogą też być różne dźwięki, wywołane uderzeniem ciał o ściany, o pojemniki, walczą nieustannie, słabnąc, i wreszcie jakby obaj dogorywają, czy; też stracili przytomność: jakiś ostatni jęk, i cisza, a przez cały ten czas Lunak deklamuje miarowo instrukcję ratowniczą).*

LUNAK: Po wypełnieniu zbiornika rezerwowego tlenem do maksimum, czyli po doprowadzeniu ciśnienia do 90 kp/cm² można przystąpić do trzeciego punktu instrukcji ratowniczej. Punkt ten nakazuje wszczęcie operacji Z jak Zbawienie. Należy odszukać w wykładzinie podłogowej kwadrat oznaczony czerwoną literą Z jak Zbawienie i podważyć go aż do wyjęcia z obsady. Pod kwadratem podłogi z literą Z jak Zbawienie znajduje się awaryjna aparatura do elektrolizy wody. Elektroliza rozkłada wodę na wodór i tlen. Awaryjną aparaturę do elektrolizy należy połączyć kablami z zaciskami tablicy rozdzielczej E4 i E5. Bateria akumulatorów pozwala na uzyskanie prądu, wystarczającego dla rozłożenia wody na wodór i tlen przez 250 godzin, w ilości zaspokajającej potrzeby dwóch ludzi. Tlen, gromadzący się w pojemniku kwarcowym, należy wprowadzać do pomieszczenia stacji, natomiast wodór należy odprowadzać na zewnątrz przewodem specjalnym T 6, oznakowanym zieloną farbą luminescencyjną. Aby zagwarantować wystarczający dopływ tlenu dla dwóch ludzi, należy ustawić gałkę zaworu na literze Z jak Zbawienie. Aparaturę awaryjną można uruchomić w przeciągu ośmiu minut. Po jej uruchomieniu należy nadal dbać o oszczędne zużycie tlenu. W tym celu należy położyć się na wznak, z rozluźnionymi mięśniami i myśleć o rzeczach pogodnych, a przynajmniej obojętnych.

Czerwiec 1975